

Wincenty Danek, Jan Nowakowski

Kraszewski i Lenartowicz : dzieje przyjaźni

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 52/1, 39-75

1961

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WINCENTY DANEK I JAN NOWAKOWSKI

KRASZEWSKI I LENARTOWICZ
DZIEJE PRZYJAŹNI

Dzieje przyjaźni Józefa Ignacego Kraszewskiego i Teofila Lenartowicza zapisały się przede wszystkim na dochowanych kartach 129 listów powieściopisarza i 224 listów poety. Listy Kraszewskiego do Lenartowicza znajdują się dziś w zbiorach Ossolineum (rkps 3659/III; poza tym 3660/II oraz 5244/I — po jednym liście); pochodzą one z lat 1858—1874. Zbiór Biblioteki PAN w Krakowie (rkps 2028/III) zawiera korespondencję powieściopisarza z lat 1872—1887; tak więc oba zbiory zachodzą w części na siebie pod względem chronologii. Listy Lenartowicza do autora *Starej baśni* są przechowywane niemal w całości w Bibliotece Jagiellońskiej (rkps 6470/IV oraz 6515/IV); znajdujemy tam korespondencję poety z lat 1847—1887. Jeden z listów poety posiada Ossolineum (rkps 3660/II)¹.

W tym więc zestawie dotąd nie wydanej korespondencji znalazły swój widomy ślad dzieje stosunków, jakie łączyły obu pisarzy w ciągu lat bez mała 40, od pierwszego listu Lenartowicza, z 23 listopada 1847, do ostatnich — na krótko przed śmiercią Kraszewskiego — listów przyjaciół z lutego 1887.

Dla ułatwienia czytelnikowi orientacji w gąszczu problemów, spraw i zdarzeń, jakie się wyłaniają z treści korespondencji, zdaje się rzeczą słuszną już w tym miejscu przypomnieć niektóre fakty z życiorysu pisarzy, a zwłaszcza momenty bezpośredniego zejścia się dróg ich życia. Doszło zaś do osobistych kontaktów zaledwie pięć razy w ciągu owych dziesięcioleci znajomości. Poznali się mianowicie w r. 1846, podczas pobytu Kraszewskiego w Warszawie. Po raz drugi mieli możliwość spotkać się i spędzić razem kilka dni w Rzymie w r. 1858, kiedy Kraszewski znalazł się tam w czasie swej pierwszej podróży po Europie. Lenartowicz przebywał od początku 1852 r. na emigracji — kolejno: w Belgii, we Francji i we Włoszech. Gdy Kraszewskiego dotknął ten sam los uchodźcy, w r. 1863, obrał sobie jako miejsce zamieszkania Drezno; Lenartowicz

¹ W dalszym ciągu niniejszego studium pominięto się sygnatury rękopisów, odsyłając czytelnika do wyżej podanych informacji.

wędrował zaś z miejsca na miejsce, aż ostatecznie — z Rzymu — przeniósł się w 1860 r. do Florencji².

Korzystając z pobytu w pobliskiej Bolonii, Kraszewski odwiedził Lenartowicza w roku 1871. Później przyjechał do niego jeszcze w roku 1878. W przecuciu zgonu zdobył się wreszcie na akt zaiste heroiczny: w stanie zdrowia kwalifikującym go do szpitala, na niespełna dwa miesiące przed śmiercią, przybył 28 stycznia 1887 do Florencji, aby po raz ostatni odwiedzić przyjaciela.

O tych faktach będzie jeszcze mowa w dalszym ciągu pracy. Zebrane tutaj, niech posłużą tylko jako konieczne punkty orientacyjne wśród spraw, które chcemy wydobyć na światło dzienne. Choć będzie ich niemało, niniejsze studium nie zdoła ogarnąć całości. Jeżeli podejmujemy zamiar nakreślenia zasadniczego zarysu dziejów przyjaźni dwu wybitnych pisarzy polskich ubiegłego stulecia i ukazania części materiału, jaki się odsłania przy wnikięciu w gąszcz ich niezmiernie ciekawej korespondencji, to czynimy tak z następujących względów:

Sądźmy mianowicie, że należy ostatecznie ustalić możliwie dokładną biografie twórców, których znaczenie i rola — zwłaszcza rola Kraszewskiego — przekracza granice do niedawna im zakreślane w dziejach piśmiennictwa narodowego. Po wtóre historia ich stosunku rzuca interesujące światło na twórczość obu pisarzy, pozwalając w wyższym stopniu ogarnąć wzrokiem ich sylwetki, poza samą twórczością ujrzyć także „ludzi żywych“, co nie jest bez znaczenia dla literackiej historiografii czasów, w których wypadło im żyć i każdemu na swój sposób działać. Może podważy to niejedną fałszywą wersję, do niedawna uporczywie utrwalaną, zwłaszcza w odniesieniu do Lenartowicza. Dzieje zaś przyjaźni pisarzy, a także historia innych stosunków, łączących ich z wielu ludźmi, i tymi, których miejsce w historii społeczeństwa było znaczne, i takimi, których zaledwie wyszukać dziś można w anonimowej rzeszy ówczesnej społeczności — pomogą może w naszkicowaniu jakiejś wstępnej na razie, próbnej i cząstkowej siatki powinowactw i związków, obejmujących całość ówczesnego życia narodu, podzielonego na „kraj“ i „emigrację“, przeciętego granicami zaborów, a przecież poprzez te wszystkie granice i podziały żyjącego jednym życiem. Do czynników łączących należały niewątpliwie owe żywe kontakty i przyjaźnie, owe porozumienia korespondencyjne, nieraz świadomie uparcie podtrzymywane i tworzące jakąś strukturę więzi społecznej, często nie dostrzeganą przez dziejopisów. Jeśli taka łączność była przy tym np. dla Lenartowicza koniecznością psychologiczną i *conditio sine qua non* twórczości, to np. dla Kraszew-

² Nawet tam osiadłszy zmieniał tak często mieszkanie, że z listów można wypisać aż 20 kolejnych jego adresów w samej tylko Florencji.

skiego była ona koncepcją i systematycznie realizowanym zamierzeniem o zakroju publicznym.

Korespondencja tych dwóch pisarzy zawiera wyjątkowo dużo materiału, objaśniającego życie całych środowisk, znacznej wartości dla historyka informacje i oceny, dotyczące mało dotąd zbadanych ośrodków, jak np. późnej (po 1848 r.) emigracji polskiej w Paryżu i kolonii polskiej we Włoszech — w Rzymie, Florencji, Bolonii. Niewielką tylko ich część uda się tutaj zaprezentować. Ich użyteczności i wartości dowieść ostatecznie może tylko opublikowanie omawianych tu listów.

Na koniec, jeśli przedstawienie historii przyjaźni obu pisarzy podejmujemy w ten sposób, że rozpatrujemy ją z dwóch punktów widzenia, od strony Kraszewskiego i od strony Lenartowicza, i konstruujemy narrację nieco odmiennie w jednym i w drugim wypadku, czynimy tak z uwagi na przedmiot, który, jak nam się wydaje, narzuca taką właśnie formę jako najślusznieszą.

Dotyczy to zwłaszcza rozmiarów obu części studium: pisanej od strony Kraszewskiego i Lenartowiczowskiej. Listów powieściopisarza jest o połowę mniej niż listów poety. Gdyby jeszcze wziąć pod uwagę ich długość, proporcje ułożyłyby się bardziej na korzyść samotnika z Florencji. Kraszewski właściwym sobie sposobem człowieka, który najmniej kilkanaście codzień załatwiał korespondencje, rzeczowo, skrótami, komunikuje fakty i faktów oczekuje od swego partnera. Niekiedy tylko znajdziemy komentarz myślowy lub uczuciowy. Ten człowiek nigdy nie miał czasu. Stosunek jego do przyjaciela-poety oceniamy raczej według tego, co dla niego zrobił, aniżeli tego, co do niego pisał.

Lenartowicz jest wylewny, w listach pozostaje też lirykiem, a często i zjadliwym satyrykiem. Poza tym poczuwa się niejako do obowiązku możliwie dokładnego informowania swego opiekuna o sprawach zarówno własnych, jak i o życiu polskiej kolonii w Rzymie i we Florencji. Nie zapominajmy, że znaczna część stałych korespondentów drezdeńskiego obserwatora życia polskiego, w kraju i w diasporze emigracyjnej, to jego agenci-informatorzy, którzy zdawali mu sprawę ze wszystkiego, co się około „sprawy polskiej“ w Europie, a także i w innych częściach świata działo. Oto jak się również tłumaczy preponderancja Lenartowiczowskiej części studium.

Spośród przytłaczającego ogromu ludzi, z którymi Kraszewski utrzymywał łączność korespondencyjną, można przytoczyć kilka zaledwie nazwisk jego przyjaciół. Głęboką była opiekuńcza przyjaźń Kraszewskiego dla *Syrskomli*, a zaznaczyła się ona zarówno w próbie monografii tuż po śmierci poety (1862), jak i w staraniach o pośmiertne wydanie jego

dzień (1872), z którego dochód miał pójść na pomoc materialną dla wdowy i dzieci po zmarłym przyjacielu. Przyjaźń tę traktować można jako najwymowniejszy przykład nie tylko głębokiego, bezinteresownego uczucia dla nieszczęśliwego brata po piórze, ale — na innych prawach — jako wyraz obowiązkowej solidarności wobec drugiego „Litwina“, za takiego bowiem na pierwszym miejscu (na drugim — za Wołyniaka) Kraszewski się uważał. Dopiero daleko za nimi znajdowali się w hierarchii ocen pisarza ludzie z Warszawy, nigdy zaś nie przekonał się do mieszkańców Galicji i Poznania. Stosunki z hr. Mielżyńskimi z Miłosławia w Poznańskim nie miały, mimo ich intensywności, przyjacielskiego charakteru. Jeśli chodzi o czasy wołyńskie, to tylko znajomość z Konstantym Podwysockim, oparta na wspólnych zainteresowaniach społecznych (Podwysocki był kuratorem honorowym gimnazjum w Kamieńcu Podolskim, jak Kraszewski w Żytomierzu) i literackich, stosunki poświadczone z górą setką listów Podwysockiego, urastają do miana przyjaźni. Jeśli dodamy do tego szczere, wzajemne uczucie, na którym się opierała zażyłość z żytomierzaninem Janem Prusimowskim, poetą, literatem i zbieraczem podań, a także najwcześniejszą ze wszystkich przyjaźń do Hipolita Klimaszewskiego, poznanego jeszcze w czasach uniwersyteckich w Wilnie nauczyciela, poety, wydawcy Noworocznika Litewskiego na r. 1831, przyjaźń ciągnącą się aż do r. 1883, rejestr przyjacielskich stosunków Kraszewskiego zostanie właściwie wyczerpany. Zbyt wcześnie porósł autor *Latarni czarnoksięskiej* we wpływy, za wiele mógł i znaczył, zbytnio się angażował w organizowanie pomocy dla początkujących autorów, aby stosunki z nim mogły się układać na podstawie bezinteresowności, warunku prawdziwej przyjaźni.

W znaczniejszej jeszcze mierze odnosi się to do okresu warszawskiego, a przede wszystkim do czasów drezdeńskich. Suma wpływów, jaką redaktor *Gazety Polskiej*, a potem autor *Rachunków* dysponował w redakcjach różnych czasopism i u wydawców w całym kraju, ogromny, ogólnonarodowy autorytet, którym się cieszył, utrudniały w znacznej mierze zadzierzgnięcie związków w pełni bezinteresownych, prawdziwie szczerych, na uczuciū sympatii opartych. Do całej plejady młodszych od siebie pracowników pióra i pędzla, do dziennikarzy i publicystów, do wielu przedstawicieli nauki i polityki pisywał Kraszewski i otrzymywał od nich listy, w których czytamy wiele zapewnień o przyjaźni i wiecznej pamięci, ale chodzi tu z jednej strony o stosunek mecenasa i opiekuna, a z drugiej o korne, często pełne próśb i czołobitnego wręcz poddania się (wraz z całowaniem rąk i padaniem do nóg) formuły grzecznościowe, którymi zainteresowani chcieli pozyskać względy i choćby wzmiankę o sobie w licznych korespondencjach do kraju, przesyłanych

z drezdeńskiego posterunku do Kłósów, Biesiady Literackiej czy Dziennika Poznańskiego. I tutaj mamy do czynienia z pewnym stopniowaniem szczerości, ale powyższa generalna formuła stosuje się niewątpliwie do korespondencji Władysława Bełzy, Walerego Eliasza, całej plejady młodych literatów lwowskich, jak Władysław Zawadzki, Karol Cieszewski, Juliusz Starkel, potem do listów Franciszka Tadeusza Rakowicza z Torunia, nawet Franciszka Dobrowolskiego, redaktora Dziennika Poznańskiego, a także — przy wszystkich akcentach uczuciowych — do listów znanego publicysty Stefana Buszczyńskiego, dalej Adama Miłaszewskiego, dyrektora teatru w Żytomierzu, Krakowie i Lwowie, Henryka Merzbacha, czy serdecznie przez Kraszewskiego umiłowanego Władysława Tarnowskiego (Ernesta Buławy).

Wymienieni tu na prawach przykładu, znacznie młodszy od pisarza ludzie, reprezentujący kilkadziesiąt osób liczący zespół zwolenników i miłośników pisarza ze sfer artystyczno-dziennikarskich, w ten czy inny sposób byli — może poza Tarnowskim — od pisarza zależni, doznali od niego tak czy inaczej pomocy i nawzajem ją wyświadczyli, ale nuta interesu dominuje w ich korespondencji, co, rzecz prosta, nie przekreśla całkowicie szczerości ich uczuć. W jakimś na pewno nieścisłym skrócie i uogólnieniu chodzi tu o grono ludzi, którzy chronili się pod skrzydła autorytetu pisarza, często przed atakami skrajnie konserwatywnej prasy i arystokratyczno-klerykalnych przeciwników ideowych, formując szeregi liberalno-demokratycznej opozycji w kraju, jeśli, jak Merzbach, nie zamieszkali za granicą.

Gdy chodzi o ludzi młodych, o generację, która zasilila szeregi powstania styczniowego, istnieje jeden tylko wyjątek prawdziwie głębokiej i szczerzej przyjaźni, a raczej synowskiej miłości do pisarza. Mamy tu na myśli Tadeusza Langiego z Krakowa, syna Karola, znanego później działacza na terenie rolnictwa w Galicji. Ten człowiek istotnie kochał pisarza uczuciem pełnym bezinteresowności, kształtował swą osobowość na jego dziełach i wyznawał głoszone przez niego zasady ideowo-polityczne. Nie żądał w zamian nic — oprócz listów i słów przyjacielskiej rady.

Do tytułu przyjaźni pretendować mogą w okresie drezdeńskim wyłącznie uczucia, jakie łączyły Kraszewskiego z Adamem Lwem Sołtanem, synem Adama, przyjacielem Zygmunta Krasińskiego, z Bronisławem Zaleskim, rytownikiem i pisarzem, na emigracji bibliotekarzem Towarzystwa Historycznoliterackiego w Paryżu (choć jasność obrazu ich wzajemnych stosunków mać historia współpracy z wywiadem francuskim na terenie Prus, której to współpracy Zaleski był inicjatorem i w niej pośrednikiem). Niemniej jednak był Zaleski, jak o tym świadczą odna-

lezione niedawno przez Antoniego Trepińskiego listy pisarza do paryskiego przyjaciela, jednym z niewielu korespondentów Kraszewskiego, przed którym się zwierzał z tajemnic swego życia, z opinii o ludziach i zdarzeniach; nie załatwiał z nim wyłącznie samych interesów.

Polityczny także charakter miała wieloletnia, poświadczona aż 768 listami przyjaźń z Adamem Lwem Sołtanem. Niestety, są to listy samego tylko Sołtana, który, zamieszany również w akcję wywiadu francuskiego, spalił, jak się zdaje, korespondencję Kraszewskiego w chwili jego aresztowania. „Polityczna“ była ta przyjaźń również dlatego, że Sołtan, reliktowy niewątpliwie typ arystokraty-wolnomysliciela, pełen liberalnych i demokratycznych idei, poza tym dość agresywny antyultramontanin, inspirował wiele poczynań politycznych pisarza na terenie zaboru pruskiego, był głównym informatorem swego przyjaciela, jeśli chodzi o stosunki na terenie Poznańskiego, Pomorza i Warmii (mieszkał u szwagra, hr. Sierakowskiego, w Waplewie koło Grunwaldu). Kraszewski dawał posłuch sugestiom Sołtana. Wpływ ich jest widoczny w szeregu pociągnięć publicystycznych i politycznych, zwłaszcza w okresie pisania *Rachunków* i redagowania *Tygodnia*.

Jest rzeczą niezmiernie trudną wybrać spośród kilkudziesięciu innych stałych korespondentów autora *Starej baśni* dalsze osoby, które by na miano przyjaciół samotnika drezdeńskiego zasługiwały. Uwaga nasza zatrzymuje się wreszcie na postaci Teofila Lenartowicza — z tym zamiarem, aby uzasadnić tezę, iż była to chyba jedyna prawdziwa przyjaźń w życiu Kraszewskiego. Własne ich losy i losy narodu sprawiły, że widzieli się, jak już wspomniano, właściwie tylko pięć razy, i to nie na długo. Rozdzielały ich granice zaborów i emigrancka nędza Lenartowicza, wraz z przedziwną niezaradnością „mazowieckiej dudy“. Sprawiała to zarazem zadzierzysta „honorność“ szlacheckiego nędzarza, który nigdy nie przyjął bezpośredniej pomocy materialnej.

Co Kraszewskiego skłoniło do obdarzenia gorącym uczuciem młodszego od siebie o 10 lat poety, wkrótce emigranta politycznego, artysty tak krańcowo odległego od siebie rodzajem zainteresowań oraz uzdolnień twórczych? Co kazało mu od 1858 r. objąć rolę mecenasa i opiekuna spraw wydawniczych „Mazurzyny“, w najwyższym stopniu niezdolnego do praktycznych kroków?

Poza przeciwstawnością typów twórczych dzieliła ich także przepaść położenia społecznego i sytuacji materialnej. Był przecież Kraszewski na początku bardziej zażyłych stosunków z Lenartowiczem najpopularniejszym już autorem w kraju, o dzieła jego konkurowały wtedy ze sobą firmy wydawnicze i redakcje gazet. Był właścicielem majątku ziemskiego, a wkrótce potężnym, bez przesady, redaktorem dziennika o popularności w Polsce dotąd nie notowanej (*Gazeta Codzienna*).

W czasach warszawskich, a niewątpliwie i w późniejszych latach drezdeńskich styl jego życia był ogromnie pański. Maniery i przyzwyczajenia właściciela dóbr nie opuściły go do końca życia. Jako pisarz nie potrafił Kraszewski pracować bez swej naprawdę bogatej biblioteki, nie wyobrażał sobie życia bez ulubionych rozrywek artystycznych, jak malarstwo i muzyka. Wystarczy wspomnieć, że nawet na rok przed śmiercią zakupił za poważną sumę do swej willi w San Remo fortepian Bechsteina w jednej z firm warszawskich. W Dreźnie przenosił się wiele razy z mieszkania do mieszkania, a zawsze motywem głównym była wygoda i reprezentacyjność. Sprzedał nawet w 1879 r. kilkunastopokojową willę przy Nordstrasse 27 i nabył sąsiednią, większą (przy Nordstrasse 31), aby lepiej pomieścić swe zbiory, wygodniej mieszkać — zawsze w warunkach przypominających ziemiańską rezydencję. Kiedy w ostatnich latach życia zamierzał się przenieść z San Remo w głąb Włoch, działający z jego polecenia znajomi (np. Władysław Kulczycki) nie mogli znaleźć odpowiedniej willi w Rzymie, gdyż żaden obiekt nie odpowiadał żądanym przez Kraszewskiego warunkom wygody i reprezentacyjności.

Na tym tle emigrancka dola Lenartowicza, stale zmieniającego „ciupy“, w których mieszkał, naprzód w Rzymie, a potem we Florencji, niewątpliwie głodującego, a wskutek tego ciągle schorzałego, dola człowieka, który wobec niestałości adresu jakże często prosił o przysyłanie listów na *poste restante*, dola ta nosi znamiona krańcowej przeciwstawności w porównaniu z „pańską“ sytuacją popularnego powieściopisarza.

Cóż zatem łączyło tych dwóch ludzi? W pierwszym z dochowanych listów, z 12 lutego 1858, Kraszewski przechodzi od razu na „ty“ i tak jest już właściwie do końca życia i korespondencji, podczas gdy „kochany Teofil“ trwa niezmiennie przy „Panu Józefie“, któremu całuje ręce i zsyła nań wszystkie możliwe błogosławieństwa. Niewątpliwie moment opiekuństwa, jakiejś ojcowskiej trochę tkliwości zainicjował długoletnią przyjaźń.

Dalszych przyczyn jej rozwoju i utrwalenia się szukać by należało w poetyckiej aurze ludowości, którą tak cenił Kraszewski w liryce Lenartowicza. Jest rzeczą wątpliwą, czy mało raczej znający chłopca polskiego autor *Ulany* mógł bez reszty wnikać w uroki mazurskich śpiewów, ale działają one przecież i na tych, co się nigdy nie zapoznali z pięknem i smętkiem mazowieckich pól i pastwisk. Recenzje Kraszewskiego z poszczególnych tomów i zbiorów poezji Lenartowicza dowodzą jednak zdolności tego pisarza do przeniesienia się w krainę poety i wrażliwego przejścia się tym, co w poezji autora *Kaliny* najbardziej istotne i wartościowe.

To chyba nie przypadek, że wspomniany powyżej i pierwszy z dochowanych listów Kraszewskiego potrąca od razu o problemy społeczne i zawiera w sobie jedno z najcenniejszych jego wyznań na temat kwestii chłopskiej i toczącej się dyskusji uwłaszczeniowej. List ten ukazuje istotne przyczyny zerwania Kraszewskiego ze środowiskiem szlacheckim Wołynia, a potem przeniesienia się do Warszawy, a co za tym idzie — przyczyny wyraźnej zmiany ideologicznego frontu, którą to zmianę opinia szlachecka poczytała mu za sprzedanie się i dezercję.

12 lutego 1858 pisał Kraszewski m. in.:

Gdy przyszło u nas decydować o uwolnieniu włościan, byli tacy, co proponowali, żeby Rząd nam wolność³ ludzi zapłacił, byli i są inni, co dając swobodę, ani kawałka ziemi, którą za swoją uważają, dać nie chcą, byli inni..., ale godziż się to powtarzać? Wiem, że zostałem z moim zdaniem sam jeden, opuszczony i w dodatku najohydniej spotwarzony. To była ostatnia próba moja udziału w życiu publicznym prowincji, o której przyszłości zupełnie zwątpiłem⁴.

Widać, że nie tylko ludowość poezji Lenartowicza zbliżyła Kraszewskiego do piewcy Mazowsza. Sprawiała to przede wszystkim bliskość poglądów ideowych na sprawę chłopską. Dawny spiskowiec i emigrant polityczny był dla sławnego powieściopisarza człowiekiem, przed którym mógł się wywnętrzać z prawdziwymi swymi przekonaniami. Ani przez chwilę nie łudzimy się co do radykalizmu tych przekonań, jak również wiemy, iż nie skryształizowały się te przekonania nigdy. Wystarczyły jednak, aby razić szlacheckie środowisko swą rzekomą „czerwonoscią“.

Otóż właśnie ta bliskość ideowa, ten bliżej nie określony demokratyzm przekonań stały się fundamentem trwałości związku uczuciowego obydwu twórców. Istotę owej wspólnoty poglądów najlepiej ukazuje jednakowa u poety i powieściopisarza nienawiść — trudno użyć innego określenia — do „panów“, czyli do arystokratyczno-kościelnego frontu reakcji, zwłaszcza w jej ultramontańskiej odmianie. Obaj szczerze wierzący katolicy, obaj przekonani o nierozzerwalnym związku katolicyzmu z polskością, równocześnie nie wahali się przed potępieniem hierarchii, politykującej z zaborcami kosztem interesów narodowych.

Oto jak komentował Kraszewski rozwianie się nadziei katolików-patriotów, że sprawa polska mogła się w jakiś sposób za pośrednictwem członków naszego episkopatu znaleźć na porządku obrad soboru watykańskiego:

³ O ile nie zaznaczono inaczej, podkreślenia w cytatach — poza podkreśleniami nazwisk — należą do autorów korespondencji.

⁴ Do L [= K r a s z e w s k i do Lenartowicza], 12 II 1858.

Co do naszej sprawy, polskiej sprawy!! Dali jej za wygraną wszyscy i porozchodzili się, kochani, zbierać jagódki na urzędowych polach prusko-austriacko-moskiewskich. Co z Polską będzie? Bóg lepiej wie niż my...⁵

Ten charakterystyczny związek patriotyzmu z wiarą i z przywiązaniem do Kościoła nie przeszkadzał im dopatrywać się wielkiego, o ile ~~nie~~ największego, niebezpieczeństwa dla dalszego rozwoju narodowego w działalności „czarnego“ sojuszu jezuicko-zmartwychwstańskiego. Ileż to razy wyrzywały się Kraszewskiemu takie sformułowania:

Książka dziś, która do Królestwa nie idzie, choć nią w piecu pal. W Księstwie jezuici, w Galicji jezuici, a gdzie oni królują, tam, co oni pozwolą, się czyta. Nas zaś nie pozwolą, to jest Ciebie jeszczeż, ale mnie — nie.⁶

Przesadzał oczywiście, bo czytano go, i to bardzo uważnie, właśnie dlatego, że jezuici zakazywali, ale miał rację narzekając na niski stan czytelnictwa w Poznańskim i w Galicji. Stąd znów mnogość sformułowań tego typu:

W Królestwie, jeśli tam pozwolą drukować Twój poemat, pójdzie on lepiej. Tam są ludzie, są czytelnicy, są Polacy, gdy w Galicji są ości, w Poznańskim ultramontanie i kupcy. I wszystko to ani czyta, ani chce wiedzieć o literaturze⁷.

Tak więc, obciążając klerykalną reakcją odpowiedzialnością za niski stan kultury i propagandę ciemnoty, żaden z nich nie przestawał poczuwać się do związków z Kościołem, co zwięźle określił Kraszewski w słowach następujących:

Mnie odpychają ortodoksi, to mi wszystko jedno, ale ja po swojemu Kościołowi wiernym zostanę⁸.

Uważne prześledzenie korespondencji obu pisarzy dostarcza wiele materiału do charakterystyki tych przedstawicieli literatury i sztuki w Polsce, którzy na podobnych podstawach opierali swój demokratyzm i liberalizm, swoją opozycję w stosunku do reakcji opanowującej coraz nowe dziedziny życia politycznego i kulturalnego w kraju. Wszyscy oni pozostawali w kręgu bezpośrednich wpływów „pana Józefa“. Tak z pewnością myślał i takie miał poglądy np. Władysław Bełza, typowym reprezentantem podobnej postawy był Walery Eliasz, zbliżone wypowiedzi odczytać można z listów takich przedstawicieli lwowskiego środowiska literackiego po r. 1863, jak wspomniany już Karol Cieszewski czy Władysław Zawadzki. Niezależnie od sklasyfikowania ich poglądów li-

⁵ Do L, 24 VI 1870.

⁶ Do L, 3 I 1871.

⁷ Do L, 14 II 1873.

⁸ Do L, 17 II 1882.

terackich — chyba najsluszniej można by ich nazwać potomkami romantyzmu polskiego — uosabiają oni najlepiej przeciętną stanowisk ideowych liberalno-demokratycznej inteligencji polskiej, która nie doszła nigdy do radykalnej filozoficznie postawy pozytywistycznej, a w dziedzinie poglądów społecznych stanęła na burżuazyjno-demokratycznym etapie rozwojowym. Wydaje się, że typowymi reprezentantami tych ugrupowań byli również dwaj dziennikarze z zaboru pruskiego: wspomniany już Franciszek Dobrowolski, były członek Rządu Narodowego z kół prawicy czerwonych, potem, od r. 1870, długoletni redaktor *Dziennika Poznańskiego*, i Franciszek Tadeusz Rakowicz, księgarz i literat toruński, przez pewien czas redaktor *Gazety Toruńskiej*. W pobliżu umieścić by tu należało Agatona Gillera z jego popowstaniową działalnością dziennikarską na emigracji, potem w Galicji. Z korespondentów Kraszewskiego podobne pozycje zajmują członkowie krakowskiej rodziny Langie, ojciec Karol oraz synowie Tadeusz i Kazimierz, u których powstaniowy patriotyzm i galicyjskie tradycje spiskowe z lat czterdziestych w sposób ciekawy mieszają się ze specyficznymi dla Galicji dążeniami organicznikowskimi, opartymi na solidnym wykształceniu zawodowym z dziedziny ekonomii i z ekonomiki rolnictwa.

W listach Kraszewskiego do Lenartowicza znajdujemy fragment, który można uznać za wręcz symboliczny dla tego rodzaju postawy — dzięki specyficznej kombinacji elementów religijnych z patriotycznymi na tle tradycjonalistycznych zresztą wyobrażeń historycznych:

Wspomniałeś o pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Otóż mam jej brulion, poprawiany i mazany przez Wybickiego. Relikwia. Na ścianie wisi, tuż własnoręczne błogosławieństwo ks. Marka⁹.

Gdyby do tego dodać jeszcze jedną z częstych u Kraszewskiego filipik przeciw „panom“, stańczykom i ultramontanom oraz innym „gasiicielom ducha“, najistotniejsze rysy stanowisk ideowych obu przyjaciół, a także reprezentowanych przez nich grup liberalno-demokratycznej inteligencji oraz mieszczaństwa, zostałyby wyczerpane.

Wydaje się, iż sam Kraszewski najwyraźniej przedstawił istotę tej sprawy oraz niewątpliwą dramatyczność sytuacji ludzi, którzy, dzięki splotowi różnych czynników, nie mogli się zdobyć na zdecydowany krok „na lewo“, kiedy pisał do „kochanego Teofila“:

Słowo w słowo tak ze mną, kochany Teofilu, za czerwony dla białych, a za biały dla czerwonych. Ale co na to począć, kiedy sumienie się do krańców posunąć nie dopuszcza. Stoi się więc pośrodku i, gdy z dwu stron do ciebie strzelają, z obu pociski odbiera — na chwałę Bożą¹⁰.

⁹ Przypisek w liście do L, 14 VIII 1875.

¹⁰ Do L, 24 V 1886.

Jeśli dodamy do tego, że w innym miejscu nazwał „Pan Józef“ takie stanowisko i ludzi je podzielających „obozem zachowawczo-postępowym“, dramat sprzeczności ideowych liberalizmu polskiego stanie się jeszcze wyraźniejszym.

W niewątpliwym związku z naszkicowanym powyżej problemem pozostaje oświetlenie sprawy jubileuszu 50-lecia działalności twórczej, obchodzonego w r. 1879 w Poznaniu (marzec) i w Krakowie (październik). Komentarz jubilata do owego tak ważnego w jego życiu zdarzenia, rozrzucony gęsto w dochoowanej korespondencji, nie dopuszcza nigdy wątpliwości, że Kraszewski dobrze się orientował w politycznej podszewce uroczystości, która z jego święta zamieniła się w okazję do rozgrywki partyjnej między ugrupowaniami liberalno-demokratycznymi i konserwatywnymi oraz przeistoczyła się w pole popisu dla intryg mocarstw zaborczych, dokuczających sobie nawzajem „sprawą polską“, reprezentowaną w danym momencie przez osobę jubilata.

Dlatego nie są niespodzianką słowa, które zamieścił Kraszewski w liście do Lenartowicza:

Cóż ja Ci powiem? Jubileusz!! Ah, to pręgierz, bracie mój, a ja rok stać muszę pod nim. Jedni niepotrzebnie kadzą, drudzy za to plują i smrodzą. Oboje trzeba z rezygnacją wytrzymać. Zbytne rozczulanie się nad 50-letnią pracą wywoła naturalnie jej sponiewieranie. Jest to w naturze rzeczy. Zatem ci, co chcieli mnie pogrzebać, dokażą swego¹¹.

Kiedy przykro doświadczył, jak prasa ultramontańska wykorzystwała dla celów politycznych jego poznańskie oświadczenie jubileuszowe o poczuwaniu się do związku z Kościołem, postanowił się zabezpieczyć przed dalszymi nadużyciami, drukując wcześniej swoje przemówienie na uroczystość krakowską. Dlatego pisał do przyjaciela:

Jużem ci napisał to przemówienie, wydumał, wypocił je, wyśnił, wysłuchał, ale sam nie wiem, czy i jaki skutek ono uczyni. Ano przeczytasz je, bo Ci przyślę drukowane, bowiem dla uniknięcia fałszywych interpretacji i sprawozdań dam drukować wprzód i z sobą powiozę, ale żywa dusza czytać go nie będzie, aż *post festum*. Że będą interpretacje, że będą sarkania — to i owo — jużci nieuniknione, ale to chwila uroczysta, wielka, w której od serca, jak mówią Łużycanie — Serby, od wątroby przemówić trzeba¹².

Gdy zaś, w miarę zbliżania się uroczystości krakowskich, nasilały się intrygi i rósł nacisk na przerażonego rozmiarami całej imprezy jubilata, skarżył się on tak przyjacielowi:

Pożałujże mnie, kochany, sercem pożałuj, bom zbolący na tym wozie tryumfalnym i poraniony i — biedny. Widziałem z góry, co mnie czeka,

¹¹ Do L, 17 III 1879.

¹² Do L, 7 VII 1879.

mais on n'échappe pas à son sort. Robiłem, com mógł, aby uniknąć wszelkich demonstracji, stało się przeciwnie. [...] Nie mogę Ci wypisywać drobnych różnych dodatków do mojego pręgierza.

Dnia 19 marca zeznałem, żem był i chcę pozostać przy wierze ojców i Kościele katolickim. Ale tego nie dosyć. Żądają ode mnie zaparcia się przeszłości i jeszcze większego upokorzenia, które przechodzi siły. *Ultra* — *ultra* będą ciskać pioruny. Cóż robić? Pioruny te z różnych stron godzą, w końcu któryś dobije. *Fiat voluntas Tua.* [...] Są laury, co jak cierrń kolą¹³.

O jakież to upokorzenie chodziło? Gdybyśmy skądinąd nie wiedzieli, że przedstawiciele Kościoła żądali od pisarza publicznego komunikowania się w czasie uroczystości krakowskich, poświadczyłyby nam to najlepiej wyjątek z listu ks. Bonifacego Jastrzębskiego, człowieka z najbliższego otoczenia pisarza w Dreźnie:

Z wielu stron jestem pytany, czy będzie ze strony Pańskiej jakie zadośćuczynienie po owym ogłoszeniu w *Dzienniku Poznańskim*¹⁴, które tak mocno ostudziło serca rozgrzane ku Tobie jako katolicko-polskie. Na to nie umiem odpowiedzieć. Proszę więc, jak o łaskę, choć o jedno słowo. Wspomniałeś, Szanowny Panie, w ostatniej ze mną rozmowie, że okażesz swe przekonania i uczucie religijne, ale w jaki sposób, nie oznajmiłeś, Łaskawy Panie. Jeżeli domysł mój był prawdziwy, że zamysłasz, Szanowny Panie, przy owej Mszy Św., o której wspomniałeś, że się nią rozpocznie uroczystość jubileuszowa i będziesz [się] na niej komunikować sakramentalnie, proszę, poleć mi, Panie, co tylko w tym względzie pragniesz, czy to zamówienie spowiednika jakiego, gdzie, zapewne w wigilię tejże Mszy Św., a z najwyższą rozkoszą chcemy wszystko dopełnić¹⁵.

Zatem wspólność postawy ideowej była jednym z najsilniejszych więzów przyjaźni między europejskiej sławy powieściopisarzem i przez szereg lat najbardziej wpływowym człowiekiem pióra w Polsce — który zdobył sobie znaczną zamożność, choć miał zawsze kłopoty finansowe — a „biednym Mazurzyną“, wegetującym w lichych izdebkach Florencji, zanim się osiedlił na *via Montebello* 24.

Biedny poeta przedstawiał sobie życie przyjaciela jako pasmo tryumfów i opływanie w dostatki, oczywiście oceniając sytuację z punktu widzenia swojego chronicznego głodowania i długów. Kiedy się zdradził

¹³ Do L, 12 IX 1879.

¹⁴ Kraszewski zaprotestował w *Dzienniku Poznańskim* (1879, nr 71) przeciw jakiegokolwiek klikowo-politycznej interpretacji jego oświadczenia w sprawie związku z wiarą i Kościołem.

¹⁵ List ks. B. Jastrzębskiego do Kraszewskiego, z 23 IX 1879 (BJ 6508/IV). Zawiera on tylko ostateczne rezultaty dłuższej presji moralnej na pisarza, którą możemy odczytać z trzech poprzednich listów Jastrzębskiego. Zaniedbania stylistyczne pochodzą od ich autora.

Wprowadzono skróty: BJ = Bibl. Jagiellońska; BPAN = Bibl. PAN w Krakowie. Liczby są sygnaturami rękopisów.

z tym drezdeńskiemu „potentatowi“, otrzymał wyjaśnienie, które potwierdza bezstronne konstatacje badaczy życia pisarza:

Kochany mój! O poeto! Jakże zlocisto Ci się wydaje mój los, moje dostatki, moje zwiędłe laury *etc.* O, gdybyś był w mej skórze, jakże inaczej by Ci się to stawiło. Jakbyś Ty, nieboraku, pisał! Niestety, z dala to tak wygląda, bo nie widać ani nerek i kamieni, które wychodzą i wyjść nie mogą, ani starych i nowych długów, ani nieprzyjaciół, co gryzą, ani oszczerców, co czernią, ani nocy bezsennych, ani dni męczeńskich. I wszystko to, co piszesz, niby jest, a z tego wszystkiego w istocie — figa. Dodaj, że oto syn mój starszy, drugi raz w życiu dorobiwszy się już, zaplątał się w fałszywe spekulacje i — pada¹⁶.

Kochany mój, nie ma na świecie innej doli, tylko jedna; im niby więcej na jednej stronie szali, tym na drugiej też ciężar się pomnaża. Ale oto kończę 68 lat, zatem niedługo przyjdzie ów sen nieprzespany i pokój niezamącony. Naówczas, naówczas dajcie mi dobre słowo, bo drudzy na mogiłę kakać będą i pluć¹⁷.

Szczerości wyznań wobec przyjaciela zawdzięczamy również kilka razy powtórzoną surową ocenę własnej produkcji powieściowej, którą to ocenę podajemy tu w wersji najbardziej dosadnej, a nawet rubasznej:

Wy, co sobie robicie karmelki i przysmaki, możecie czasem spoczywać, ja, mówiłem to i powtarzam, chleb razowy, ościsty piekę, więc dzień i noc przy piecu stać muszę. W dodatku o przysmakach długo ludzie pamiętają i historia o nich wie, a o chlebie razowym, gdy się strawi i, za pozwoleniem, wysra, nie ma pamięci. Ale co komu Bóg przykazał. I tyle¹⁸.

Tylko wobec Lenartowicza zdobyć się mógł Kraszewski na wyznanie, którego wagę trudno przecenić. Jest to wyznanie na temat przeciwnika osobistego, człowieka, który zaciążył nad kolejami żywymi pisarza w sposób rozstrzygający, polecając mu wyjazd z kraju w styczniu 1863. Chodzi o Wielopolskiego. Akceptacja dla niektórych organicznikowskich elementów jego programu politycznego i gospodarczego, nawet ogólnikowe wyrazy nadziei związane z osobą margrabiego, a zamieszczone w *Gazecie Polskiej*, przeistoczyły się wkrótce w otwartą nieufność. Choć Kraszewski nie pisał w *Gazecie* w 1862 r. nic o Wielopolskim, bo cenzura nie pozwoliłaby na jakąkolwiek krytykę, naczelnik rządu cywilnego orientował się dobrze w zasadniczej dezaprobachie swych posunięć politycznych, której nieostrożny pisarz musiał dawać wyraz w inny sposób. Widział Wielopolski we wpływowym autorze nie-

¹⁶ Kolejne bankructwa syna Jana, typowego spekulanta przemysłowo-handlowego, były przyczyną zmartwień ojca, który uważał się za zobowiązanego do pomagania mu i płacenia jego długów. W ten sposób marnowały się ogromne dochody pisarskie Kraszewskiego.

¹⁷ Do L, 23 III 1880.

¹⁸ Do L, 29 XII 1880.

bezpiecznego konkurenta w panowaniu nad opinią krajową, spowodował więc jego wydalenie z Królestwa.

Może i warto będzie kiedyś ustalić, czy i w jakiej mierze działały tu względy natury osobistej, a nawet sekretnej, w związku ze stosunkiem, który łączył, a raczej dzielił Wielopolskiego i pisarza przez osobę Egerii Wielopolskiego, hr. Kellerowej, zarzucającej sieci swych uroków na Kraszewskiego. Niewątpliwie ukaże się wtedy prawdziwa rola tej awanturnicy w stosunku do osoby pisarza.

Po tych koniecznych przypomnieniach przypatrzmy się wypowiedzi Kraszewskiego z r. 1879, który od 1863 r. mieszkał w Dreźnie, jak i jego antagonistą, zmarły w roku 1877:

Chcesz mojego zdania o Wielopolskim! Znałem go osobiście i z początku byłem z nim w dobrych stosunkach. Nie można zaprzeczyć, że kraj kochał, ale jego przyszłość po swojemu pojmował. Że pragnął dobra, temu wierzę, ale najniezręczniejszą się brał do wykonania. Ludzie najbliżsi, co go otaczali, gorsi i głupszy od niego, do reszty popsuli rzecz poczciwie pomyślaną, ale niegodziwie ujętą. Człowiek był niepospolity, ale dumny, zarozumiały i otoczenie go psuło. W każdym razie postać wielka i ruina godna poszanowania. Nie masz pojęcia, jak go Moskale nie cierpieli i nie cierpią. Nie byłem za Wielopolskim, on mnie wygnał z kraju i liczył za nieprzyjaciela, ale sprawiedliwość mu należy. Chory poszedłem na jego pogrzeb. Padł ofiarą przekonań. I to coś znaczy¹⁹.

Wydaje mi się, iż stanowisku temu nie można odmówić wielkoduszności i samodzielności w stosunku do obowiązującej, obiegowej opinii patriotycznej, piętnującej zdradziecki w stosunku do narodu charakter rządów inicjatora osławionej „branki“.

Listy Kraszewskiego do Lenartowicza dostarczają poza tym cennego materiału autobiograficznego, stanowiąc podstawowe źródła do poznania życia pisarza od strony codziennych trosk i zmartwień, a głównie jeśli chodzi o jego zdrowie. Niektóre partie korespondencji wyglądają jak szpitalna historia choroby lub urzędowa diagnoza lekarska. Odnosi się to zwłaszcza do listów z ostatnich lat życia. Znana z innych zespołów listów wrażliwość pisarza na zimno, ciągła tęsknota za ciepłem i łagodnością klimatu znalazły tam najdobitniejszy wyraz. Opisy stanów fizycznych i duchowych steranego chorobami i klęskami życiowymi starca, zwłaszcza kiedy przedstawia swoje życie w miesiącach między więzieniem śledczym i procesem (1883—1884) albo w prostych a wzruszających słowach daje poznać przyjacielowi dramat swej samotności w wieczór wigilijny r. 1886 w San Remo, wywołują w czytelniku najgłębsze współczucie dla cierpiącego człowieka. Choćby dla tych niezapomnianych kart

¹⁹ Do L, 7 VII 1879.

warto odczytać, jak to „Pan Józef“ pisywał do „kochanego Teofila“ i jakie od „Mazura“ otrzymywał wiadomości.

Inny jest obraz dziejów przyjaźni Lenartowicza. Ta bowiem nie tylko stanowiła o wiele istotniejszy składnik biografii poety, ale była też dlań nieporównanie ważniejszą potrzebą psychiczną. Wbrew utartym mniemaniom o mizantropii liryka, którego zwano „samotnikiem znad Arno“, wiązały go liczne, często bardzo ściśle, zwłaszcza emocjonalne, powinowactwa z innymi. Samotność zaś była dlań fatalnością, na którą nigdy nie dość miał skarg. Tym snadniej w swym życiu tułacza — także w twórczości — z lirycznym wzruszeniem zwracał się do młodości własnej i do kraju, który umiłował nie tylko jako krainę zielonych smugów, wierzb i wiatrem pochylonych sosen, lecz także jako utraconą dziedzinę najsilniejszych związków z ludźmi — tych zwłaszcza związków, które stanowiły o wspólnocie uczuć, dążeń i działań.

Zwracał się przede wszystkim wierną pamięcią do wszystkich, którzy mu kiedykolwiek okazali życzliwość, a zwłaszcza zachęcili do twórczości. W zachowanej w rękopisie notatce autobiograficznej wspominał tedy wdzięcznym sercem „poetę Zmorskiego, Bohdana Dziekońskiego i Seweryna Sierpińskiego“²⁰. W innej — drukowanej w *Przeglądzie Literackim* — wyliczał skrupulatnie wszystkich, co „w samych [...] początkach [...] zawodu literackiego przychylnie już [o nim] — wspominali, do dalszej nad sobą pracy usilnie [...] zachęcając“; mieli to być:

Lucjan Siemiński, Kaz. Wład. Wójcicki, nieodżałowany Kraszewski, Fryd. Hen. Lewestam, Julian Klaczko, Pol Wincenty i Józef Szujski.

Dodawał:

Nadto zaś — zachęcili i utwierdzali mnie na raz obranej drodze: Ad. Mickiewicz, J. Bohd. Zaleski, Sew. Goszczyński, Ant. Pietkiewicz (Adam Pług), Leon. Sowiński i wielu innych²¹.

Przytoczone notatki pomijają wszakże, poza wzmianką o Zmorskim, związki w młodości poety najważniejsze. Ich zapis znajdzie się przecież gdzie indziej. Do takich należy przyjaźń z „domem Norwidów“. Zbliżenie, zapoczątkowane we wczesnej młodości, kiedy to Lenartowicz bywał częstym gościem w Głuchach, znalazło kontynuację w późniejszym stosunku „trudnej przyjaźni“ z Cyprianem, w spotkaniach i rozstaniach po-

²⁰ BPAN 2084.

²¹ *Autobiografia poety*. *Przegląd Literacki*, Dodatek do Kraju, (Petersburg) 1888, t. 13, nr 48.

etów, w ich ujętych w kształt poetycki polemikach i lirycznych posłaniach. Jak najpiękniejsze potwierdzenie tej „przyjaźni różniących się“ pozostały słowa paryskiego wiersza Norwida z marca 1856:

Widziałem dobrze, bo wzrokiem nad-łzawym,
Ze Tyś mię jeden nie opuścił w świecie —
Niechże Cię miłość — Boża za to czeka,
Nie, żeś pamiętał mnie, lecz że człowieka²².

Poprzestając tu na wzmiance o tym przedmiocie jako zasługującym na oddzielne rozpatrzenie, wrócimy do nazwiska Zmorskiego. Przyjaźń okazana przez „brata Romana“ nie tylko sprzyjała umocnieniu się Lenartowicza w powołaniu pisarskim i otworzyła jego poezjom drogę do druku, ale prawdopodobnie wpłynęła stanowczo na jego zbliżenie do ówczesnej lewicy demokratycznej i na udział w odpowiednich akcjach politycznych. Wspólne przedsięwzięcia dwu poetów-agitatorów znalazły, jak wiadomo, wspólny finał w roku 1843. Gdy znów w trudnej chwili się zeszedli, w 1849 r. odnawiając na Łużycach tradycję wspólnych wędrówek, jeszcze raz zabrali się obaj — Lenartowicz za przykładem i namową Zmorskiego — do pomocy przy wydawaniu *Stadła*, poświęconego słowiańskiemu braterstwu. Stosunek przyjaźni z młodym Zmorskim należał zapewne do ściślejszych, umocniony trudną przygodą, wspólnotą działań, podobieństwem, choć nie identycznością przekonań.

Niejedno wspólne przeżycie złączyło też Lenartowicza z Karolem Brzozowskim; jemu to zawdzięczał zapewne wniknięcie w tajniki puszczy kurpiowskiej, być może przy okazji wspólnych kontaktów spiskowych. Nie darmo młody Brzozowski tak sprawnie przeprowadził przerzut — swój własny i dwóch zagrożonych aresztowaniem poetów — z Wyszkowa za pruską granicę. Przyjaźń ta nie miała jednak cech takiej intensywności, jak stosunki łączące Lenartowicza z autorem *Pieśni i podań ludu na Mazowszu*: bardziej okazjonalna, rwała się potem, co nie dziwne zresztą, gdy zważyć dalsze, niecodzienne koleje życia późniejszego wicekonsula hiszpańskiego w Syrii. Po latach był Brzozowski postacią tchnącą już obcością egzotyizmu, a jeżeli jeszcze czym bliską, to wspólną pamięcią i sytuacją wygnańca z ziemi ojczystej, któremu „lirnik mazowiecki“ przypisywał tę samą co własna nostalgię.

Nie padło tu jeszcze najważniejsze dla dziejów młodych przyjaźni twórcy *Kaliny* nazwisko Ignacego Komorowskiego. Nerozerwalnie związane potem w tradycji, imiona obu artystów już w dwudziestych latach ich życia wymawiano jednym tchem. O ile przyjaźnie Teofila Lenartowicza z wymienionymi przed chwilą przedstawicielami młodej gene-

²² C. Norwid, *Do Teofila Lenartowicza*. W: *Wszystkie pisma po dziś w całości lub fragmentach odszukane*. T. 8: *Listy*. Cz. I. Warszawa 1937, s. 194.

racji romantyków mniej rzucały się w oczy, tak że osób tych raczej za najbliższych Lenartowiczowi nie uważano, co mogło mieć swoje rzeczowe uzasadnienie w ówczesnej sytuacji ogólnej, o tyle ta przyjaźń nadawała dwu młodym artystom w „salonach“ Warszawy charakter nierozłącznych Dioskurów. Ostentacyjna w sensie życiowym, podkreślona była braterstwem twórczości. Mieszkali przez pewien czas razem „na Aleksandrii“, razem bywali w salonach literackich, gdzie odbywali swoje „wieczory autorskie“. Z kompozycji Komorowskiego najbardziej zasłynęły te, które dotworzył do słów poety. Nie darmo potem nagrobek wystawiony „śpiewakowi *Kaliny*“ otrzymał elementy plastyczne stanowiące w równej mierze odnośniki do tekstów Lenartowicza, jak do utworów kompozytora.

Gdy tamte przyjaźnie wiązały się raczej z napięciem aktywności bezpośredniej, wędrówek, agitacji, przedsięwziętych z musu ucieczek, ta, o której teraz mowa, angażowała raczej twórczość, sama stwarzając dla niej klimat emocjonalny. Gdyby tamte wolno było mianować epickimi, tę by wypadło nazwać liryczną. Jej to właśnie autor *Lirenki* poświęcił jeden z najpiękniejszych, a przy tym najbardziej intymnych swych utworów, pełen tak w twórczości Lenartowicza wyjątkowych akcentów osobistych, wiersz *Pamięci Ignacego Komorowskiego*.

Wiersz ten nazwaliśmy kiedyś repliką na *Godzinę myśli*²³. Jeśli nawet nie jest nią w tym sensie, jakoby Lenartowicz przeciwstawiał świadomie swoje wyznanie poematowi Słowackiego, to jest nią na pewno o tyle, że ukształtowały owo epitafium — zarówno odmienna postawa osobista, jak odmiennie doświadczenie dziejowe. Przyjaźń, o której tak pisał:

Przyjaźń czy miłość szlachetna — to jedno,
I ludzie tylko dają miana inne
Na jedno święte, wielkie i niewinne²⁴.

— nie była formą introwersyjnego zamknięcia się w wyłączności szczególnych, innym niedostępnych przeżyć dwóch tylko „wybranych“, zatopionych w sobie i w marzeniach, lecz przeciwnie, właściwą drogą do „miłości ludzi“, działania, realizowania siebie w kształtowaniu świata. W wiersz Lenartowicza wpisały się więc poprzez wspomnienie największej w młodości przyjaźni doświadczenia programów i działań romantycznej „młodej Warszawy“; wpisało się również gorzkie z kolei doświadczenie historyczne — zawodu; niepowrotne rozstanie z przyjacielem stało się

²³ Por. J. Nowakowski, *Z Lenartowiczowskich przemilczeń*. W tomie zbiorowym: *Dziesięciolecie Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie*. Kraków 1957.

²⁴ T. Lenartowicz, *Pamięci Ignacego Komorowskiego*. W: *Poezje*. T. 1. Poznań 1863. Cyt. za: T. Lenartowicz, *Wybór poezyj*. Opracował J. Nowakowski. Wrocław—Kraków 1956, s. 123. Biblioteka Narodowa. Seria I, nr 5.

w wierszu poety równe rozłące z miłością, z ziemią ojczystą, z nadzieją i wiarą młodości:

Patrząc, jak blade miesiące przechodzą,
 Myślę o grobach, co nas żywych grodzą
 Od was umarłych, i czekam godziny,
 W której mi podasz rękę, mój jedyny²⁵.

Tak więc gdy inne przyjaźnie znalazły swój zapis w działaniach, których właściwy sens pozostawał w ukryciu, historia przyjaźni z Komorowskim, poprzez ten wiersz-wspomnienie, pozwala wnikać w atmosferę, w jakiej się owe przedsięwzięcia poczyniły, odczytać temperaturę przeżyć. Przede wszystkim zaś pozwala dostrzec, że — po pierwsze — przyjaźń w życiu Lenartowicza nie była pretekstem do zamknięcia się przed „działaniem w społeczności“, lecz przeciwnie, jedną z jego dźwigni, a po wtóre, że podobna była w jego odczuciu funkcja sztuki. I tu bowiem wyznawał prymat „życia“.

Jakby na wzgardę za tę lżę wylaną
 Z liści lauru wieńce nam rozdano
 I on muzykiem został, ja poetą;²⁶

— stwierdzał więc z goryczą zawodu po latach.

Zjawiająca się później przyjaźń następna — już po „warszawskich“, „spiskowych“ jego latach — rozwinie się w innych okolicznościach: w sytuacji dziejowej — po dramacie Wiosny Ludów, w życiu osobistym Lenartowicza — już na tułaczce, choć jeszcze zrazu na ziemi polskiej. Stosunek łączący poetę z Ewarystem Estkowskim ma też charakter nieco odmienny od wcześniejszych. Niezbyt wiele wiadomo o tym, jak kształtowały się bezpośrednie kontakty osobiste przyjaciół w Wielkopolsce, kiedy Lenartowicz tam jeszcze przebywał na ciągłej wędrowce od dworu do dworu, w poszukiwaniu bezpiecznego dachu nad głową. Musieli się spotykać naprzód przy pracach nad wydawaniem *Krzyża i Miecza*, pewnie wtedy nastąpiło zbliżenie; wiadomo, że poeta był częstym gościem w domu Estkowskich, wiadomo o wspólnym pobycie przyjaciół we dworze Kamińskich w Przystankach²⁷ w lipcu 1851, ostatnim zresztą, według świadectwa poety, zetknięciu na ziemi polskiej. Wiemy również, że był Lenartowicz Estkowskemu serdecznym i pełnym inicjatywy przewodnikiem, gdy ów stanął w Paryżu w r. 1853; doprowadził wtedy do prezentacji pedagoga Mickiewiczowi, zetknął go z Sewerynem Gałęzowskim, oprowadzał po Paryżu, Wersalu, zwiedzał z nim instytucje naukowe i zakłady wychowawcze.

²⁵ *Tamże*, s. 126.

²⁶ *Tamże*, s. 121.

²⁷ Por. T. Lenartowicz, *Ewaryst Estkowski*. Tygodnik Ilustrowany, 1860, t. 2, nr 52.

Najważniejsze przecie świadectwa ich stosunku, poza fragmentami wspomnień w *Listach o Adamie Mickiewiczu*, to łamy *Szkółki dla Dzieci* i korespondencja. Współpraca przyjaciół w *Szkółce dla Dzieci* wynikała z podobnych przekonań o potrzebie podjęcia po klęsce rewolucji systematycznych działań wychowawczych, zwróconych ku masom ludowym i ku najmłodszemu pokoleniu. Była jednocześnie znamienym dowodem wiernej przyjaźni, wzajemnie udzielanego wsparcia. Gdy poeta nie miał szerszych możliwości nawiązania łączności z czytelnikiem w kraju, Estkowski otwierał szpalty swego pisma na przyjęcie walnej części twórczości Lenartowicza, powstającej naprzód w Wielkopolsce, później — i dłużej — na wygnaniu; przede wszystkim dzięki *Szkółce* stały się wiersze autora *Złotego kubka* przedmiotem zainteresowania poważnej krytyki wielkopolskiej (*Przegląd Poznański*). Paradoks, że czasopismo dla dzieci dorastało do funkcji pośrednika dla najpoważniejszych nieraz i najgłębszych wypowiedzi poetyckich, sprawiał, że roczniki *Szkółki* były na czas dłuższy, bo aż do wydania *Lirenki* w r. 1855, jedynym, zresztą dość obfitym, wyborem porewolucyjnej poezji Lenartowicza. Z drugiej strony — Lenartowicz wspierał w ten sposób przedsięwzięcie Estkowskiego, dodawał mu potrzebnego blasku poezji. Korespondencja przyjaciół ukazuje, z jakim przejęciem śledził poeta losy wydawnictwa, jak zabiegał w pomysłach o ratunek, gdy Estkowski borykał się z rosnącymi trudnościami.

Ta korespondencja, wydana przez Bolesława Erzepkiego²⁸, jest pierwszym w chronologicznej kolei powstawania zachowanym blokiem korespondencji ciągłej Lenartowicza. Stanowiąc nieocenione źródło nie tylko dla biografii poety, jest zarazem sygnałem nowej sytuacji, na tle której rozwiną się dzieje przyjaźni dalszych, właśnie, że je tak nazwiemy, „korespondencyjnych“.

Rzadko zresztą będą to teraz przyjaźnie całkiem nowe, genezę swoją związane z wejściem w środowisko emigracyjne. Prawda, na obczyźnie zetknie się Lenartowicz z Mickiewiczem i jego rodziną, otworzy się przed nim dom Bohdana Zaleskiego w Fontainebleau, ale nie może być przy tym, oczywiście, mowy o przyjaźni na równej stopie. Można by wymienić historię dziwnej przyjaźni z Hipolitem Terleckim, ale jej zawile meandry występują na planach zgoła innych niż stosunek jednoznacznej przyjaźni. Zresztą i ta historia początkiem swym sięga lat dawniejszych, bo czasu drezdeńskiej rewolucji roku 1849.

²⁸ Por. *Listy Teofila Lenartowicza do Ewarysta Estkowskiego*. 1850—1856. Wydał B. Erzepki. Poznań 1922. Por. również szczegółową rozprawę: I. Lewańska, „*Szkółka dla Dzieci*“ Ewarysta Estkowskiego. W tomie zbiorowym: *Rozprawy z historii literatury dla dzieci i młodzieży*. Wrocław 1958.

Poza tym przyjaźń w emigracyjnych dziesięcioleciach Lenartowicza, gdy chodzi o ludzi, z którymi żyje względnie blisko, jest pozbawiona pierwiastka emocjonalnego, będąc raczej tylko współzyciem towarzyskim albo formą wsparcia moralnego w niedoli wychodźstwa. Żadna też z „emigracyjnych“ nie dorówna poprzednim, chyba że poczęła się w orbicie jakichś szczególniejszych związków z przeszłością lub aktualnym życiem kraju. Albo — że rozwinęła się na pożywcze wdzięczności za uznanie i za pomoc, z jaką ktoś tam, w kraju, przyszedł dziełom Lenartowicza, ich rozpowszechnieniu i objaśnieniu.

Oryginalne dzieje jednej spośród przyjaźni wydobyl z korespondencji Wiktor Przecławski. Słusznie nazwał ją „dziwną przyjaźnią“²⁹, jako że Lenartowicz z Felicjanem Faleńskim — o niego tu bowiem chodzi — nigdy się nie widzieli, a planowane w listach pierwsze ich spotkanie uniemożliwiła śmierć poety. Trwający w tych okolicznościach niemal 30 lat stosunek przyjaźni wyraz swój znalazł więc w korespondencji. Listy Lenartowicza do Felicjana objaśniają, jak ta „korespondencyjna“ przyjaźń wzrosła na tle wynajdywanych przez autora *Lirenki* w twórczości Faleńskiego pokrewieństw z własną postawą wobec życia i ludzi („Ty jeden między wielu z sercem...“). Teraz już nie pogoda i aktywny optymizm, lecz smutek i rozgoryczenie zbliżają dalekich sobie pisarzy: wygnaniec wśród obcych odkrywa w Felicjanie samotnika wśród swoich, twórce nie docenionego; dostrzega w tym nie tylko podobieństwo, ale również rodzaj szerszego wytłumaczenia dla sytuacji własnej poezji w konfrontacji z „opinią kraju“. Mówiąc o własnych niedolach, akcentując swój los, chce przy tym uzmysłwić adresatowi, o ile ów jednak mniej nieszczęśliwy od niego. Najbardziej przejmujące strony listów powstały w r. 1871, po zgonie Zofii Lenartowiczowej, wraz z tymi wierszami:

Bieda mnie była przez całe życie,
Tam lepiej będzie...
Łzy moje ciekły, ciekły obficie
Zawsze i wszędzie...³⁰

A także w r. 1877, kiedy zapytywał:

Powiedz mi, czy jesteś samotny tak, że kiedy obrócisz się po świecie, nie wiesz, do kogo wyciągnąć rękę, bo wszystko albo pomarło, albo gorzej: upadło. Powiedz mi, czy nie masz komu przeczytać to, co pod sercem wysnujesz — czy żadna ręka nie wyciągnie się ku tobie i żadne zwilżone oko w twoje oczy nie spojrzy. [...]

²⁹ W. Przecławski, *Dziwna przyjaźń*. Lenartowicz — Faleński. Szkic na podstawie źródeł rękopiśmiennych. *Ruch Literacki*, 1933, nr 9/10.

³⁰ *Tamże*, s. 227.

Powiedz, czy rozpacz doszła w tobie do punktu, na którym już się nic nie słyszy, żadnych głosów... chaos tylko, bunt i nicość...³¹

Tyle na planie osobistym. Równolegle — na planie literackim — trwała wymiana sądów o utworach, były dedykacje (jak *Odgłosów z gór Faleńskiego* z r. 1871 — Lenartowiczowi), wiersze dołączane do korespondencji, trochę przysług literackich ze strony Felicjana (jak przekazanie do druku wiersza *Och, tak my razem, mój Felicjanie...*).

Z dziejami przyjaźni z Faleńskim, której początek w listach z r. 1856, weszlśmy więc ostatecznie w krąg stosunków uwierzytelnionych niemal wyłącznie obfitą korespondencją.

Niejedna tu interesująca sprawa, w owych ciągnących się latami wytrwałych korespondencjach, zastępujących Lenartowiczowi, zwłaszcza w okresie florenckim, współzycie z krajem. Wiele z tych listów, jakie zachowały zbiory rękopisów, to rodzaj posłań z ziemi wygnania, kierowanych do tych, z którymi kiedyś zetknął się gdzieś na Mazowszu, w Warszawie, w Krakowie, w Wielkopolsce.

Niektóre korespondencje poczynają się z nagłą, na jakąś wieść otrzymaną z kraju, na znak życia czy pamięci (tak np. jest z listami do Pauliny z Norwidów Suskiej, do Adolfa Malczewskiego), a dotyczą głównie wspomnień lub jakichś informacji o losach ludzi niegdyś przyjaznych. Podobne miejsce zajmują w zespołach listów takie, jak np. listy do Kornelii Sztembarth i do Teodory z Narbuttów Monczuńskiej. Zastanawiające jest przy tym, ile uporu wkładał poeta w utrzymanie tych korespondencji: owe listy, pisane z Rzymu i z Florencji, stawały się niemal diariuszem jego życia i twórczości, zawierały ważne, bardzo istotne wypowiedzi, nieraz — zdawałoby się — ponad poziom odbiorczyń.

Nie może być, z braku „dokumentacji“, naszą sprawą orzekanie o sile ani o charakterze niejednego jeszcze, niewątpliwie przyjaznego, stosunku Lenartowicza czy to do ludzi spotkanych na śladach tułaczy (a byli wśród nich tacy, jak generał Hauke-Bosak), czy do pozostałych w kraju; należałoby przecież wymienić między innymi — nazwanego wszakże przez samego poetę dość nieoczekiwanie (w drukowanej dedykacji edycji krakowskiej z r. 1876) „przyjacielem lat dziecińczych“ — Mieczysława Pawlikowskiego, wyróżnić wiernego w przyjaźni Mieczysława Darowskiego, wspomnieć życzliwego Adama Piługa, ze współwygnańców zaś Bronisława Zaleskiego.

Były jednak i przyjaźnie, co w zawiłej swej historii gorycz zasiały w duszy „lirnika“. Tak się stało z przyjaźnią Klaczki, poznanego w miesiącach Wiosny Ludów, spotykanego potem w Poznaniu entuzjasty

³¹ *Tamże*, s. 233.

Lenartowicza i jego twórczości, autora frenetycznej recenzji *Dziewczyny*, z kolei zaś, po wyjściu *Gladiatorów*, zajadłego przeciwnika z *Wiadomości Polskich*. Ta „zdrada“ była dla poety ciosem, z którym długi czas nie mógł sobie poradzić. Ale gdy przejdą lata, niewierny „przyjaciel Klaczko“ (jak podpisał sobie Lenartowicz jego fotografię zachowaną w albumie) znów zachodzić będzie do samotni przy via Montebello we Florencji na życzliwą pogawędkę z tyle przez siebie doświadczonym Lenartowiczem. Ten przyjmie go błyskiem ironii w oku, lecz i współczuciem, iż tak lichy z jego zdrowiem, iż taki zneedzniały fizycznie...

Należy zatrzymać się na koniec przy dwóch osobistościach niemałego znaczenia. Agaton Giller i Józef Ignacy Kraszewski. Obfite i interesujące bloki korespondencji poświadczają rolę i charakter pięknych przyjaźni, jakie z nimi Lenartowicza łączyły.

Korespondencja Lenartowicza z byłym członkiem powstańczego Rządu Narodowego zasługuje od dawna na wydanie. Zawiera wiele materiałów do dziejów kraju i emigracji, a zwłaszcza do historii polskiej myśli politycznej po powstaniu styczniowym. Listy Lenartowicza do Gillera wyróżniają się spośród wielu innych zespołów jego korespondencji tym właśnie, że dotyczą przede wszystkim spraw publicznych i zawierają w tej mierze szerokie, często szczególnie staranne wypowiedzi. Niewiele umiemy powiedzieć o anegdotycznej stronie tej przyjaźni. Korespondencja o niej raczej milczy. W każdym razie na głębokim była ona oparta zaufaniu, a o wzajemnym docenianiu się partnerów świadczy wymownie uwaga, z jaką swych głosów słuchali. Uznając podstawową wspólnotę dążeń, najogólniej mówiąc: patriotycznych i antyreakcyjnych („uprzywilejowana“ *bête noire*: stańczycy), udzielali sobie informacji interesu ogólniejszego, podsuwali myśli o inicjatywach mających znaczenie dla „sprawy polskiej“. Dwie zwłaszcza kwestie zasługują na pilniejszą uwagę, gdy chodzi o inicjatywy Lenartowicza utrwalone w listach do Gillera: jedna — to sugestie dotyczące źródeł i metody interpretacji dziejów walki wyzwoleniczej w Polsce; druga — to pomysły organizacji szerokiej propagandy polskiego programu wyzwolenia narodowego wśród obcych. Obydwie łączą się zresztą z podjętą w tych samych latach działalnością poety jako wykładowcy w Bolonii; prelekcje jego bowiem w pierwszym rzędzie objaśniały dzieje polskiej irredenty, a na jej tle historię zjawisk literackich w kraju i na emigracji, same będąc przy tym rozumną i ofiarną propagandą na forum italskim.

Jeszcze ciekawsze są jednakowoż listy dwóch pisarzy. Nie tylko listy zresztą, ale i same dzieje tej szczególniejszej przyjaźni.

Zaczęło się od spraw literackich. Poznali się wprawdzie już w Warszawie, w roku 1846.

To ten liliput literacki, co to u Wójcickiego poznałeś go i podałeś mu, jak każdemu innemu, rękę braterską³²

— przypomniał w pierwszym swym liście do Kraszewskiego Lenartowicz. A w następnym jeszcze precyzował:

W czasie bytności Waszej w Warszawie przedstawiony Wam byłem przez Kazimierza Wójcickiego, a pamięć chwil kilku w Waszym towarzystwie spędzonych pozostała w duszy tak świeża, jak by to było wczora³³.

W istocie stało się to przed 11 laty. Ale znajomość musiała być na tyle zdawkowa, że należało się przypominać i usprawiedliwiać, gdy zainteresowanie wzbudzone lekturą *Sfinksa* Kraszewskiego włożyło poecie pióro do ręki. W ostrożnych sformułowaniach wypowiadał sąd krytyczny o koncepcji postaci Fantazusa w utworze Kraszewskiego, sugerując potrzebę przesunięcia tej postaci z płaszczyzny prywatnego dramatu na płaszczyznę tragedii narodowej.

Fantazus należy do tragedii, w ramach prywatnego życia zamknąć go nie można [...]. Bohaterstwo albowiem z dawną Grecją nie skończyło się.

— pisał. Intencja młodego poety wydaje się na tle treści listu jasna: chciał podkreślić istnienie innej platformy życia w kraju, a z nią odmienną koncepcji roli i funkcji twórczości. „Czas dzisiejszy jest krwawym dramatem“, a „jak wódz przed szeregami, mówca na trybunie, tak wieszcz w kapłaństwie swoim na właściwym miejscu stanąć ma“ — deklarował.

Aluzyjność i ostrożność sformułowań 25-letniego wówczas poety, który o swej twórczości tak się w liście wyrażał: „Moje piosenki gminne, nie wiem, czy kiedy wylecą na swoją ziemię, chyba kiedyś na wiosnę, jak bociany“, i ową wiosnę podkreślał znacząco — potwierdza naszą opinię o wytrwałej zdolności przemilczania, tak właściwej Lenartowiczowi, gdy chodzi o jakiegokolwiek wyznania dotyczące podziemnej Polski owych czasów i swojej o niej wiedzy. Z drugiej strony wszakże jest ona tu próbą zaufania i pierwszym dowodem wyczekującej sympatii. List uzupełnia informacja o tym, iż — rzecz interesująca — *Jana Kochanowskiego* pisał w tym czasie z myślą o Kraszewskim („*Kochanowskiego* piszę dla Was“) ³⁴.

Miał też wtedy Lenartowicz zamiar odwiedzić Kraszewskiego w Gródku (w lipcu 1848), ale do spełnienia zamierzenia nie doszło z wiadomych przyczyn. Następnym zaś list był już z Rzymu, po 10 latach. Stąd szczególniejsze zainteresowanie budzi list pierwszy, jeden z bardzo niewielu

³² Do K [= Lenartowicz do Kraszewskiego], 23 XI 1847.

³³ Do K, 5 V 1857.

³⁴ Sprawa zresztą niejasna, bo utwór pod tym tytułem ukazał się był już w *Niezapominajkach* w 1845 r. i powstał raczej na tle odwiedzin Zwolenia i Czarnolasu w roku 1844.

zachowanych listów okresu „krajowego“, a jedyny z tych lat list do powieściopisarza. Drugi z kolei wchodzi już w skład wielkiego zespołu „korespondencji emigracyjnej“ Lenartowicza.

W roku 1856 zmarł Estkowski, w 1857 Komorowski. W marcu 1856 — datowany został przytoczony wyżej wiersz Norwida. Z Rzymu, 24 kwietnia 1856, datuje Lenartowicz swój wiersz *Wincentemu Polowi*, przypominający dawne spotkanie. Z rokiem 1856 rozpoczyna się (o ile sądzić z zachowanych listów) korespondencja poety z Kornelią Sztembarth. Z Rzymu też w 1856 r. wysłał on pierwszy list do Faleńskiego. Z roku 1856 pochodzą istniejące listy Pauliny Suskiej, nawiązujące do dawnej przyjaźni „domu Norwidów“ dla Lenartowicza.

Wymienione daty i ułamkowe fakty mają posłużyć wskazaniu szczególniejszego znaczenia w życiu naszego poety tego momentu, w którym wznawia kontakt z Kraszewskim. Jest to bowiem w pewnym sensie czas przełomowy: ostatecznie zamyka się wówczas okres, kiedy Lenartowicz ma jeszcze świadomość trwania naturalnych związków z krajem. Z nagłą staje wobec sytuacji, w której związki bliskości się rwą, często ostatecznie. Dodajmy: w 1856 r. decyduje się poeta na wydanie wiersza *Wygnańcy do narodu*; „Rzym, 15 stycznia 1857“ — sygnuje *Super flumina Babylonis*, gdzie rzuca pytanie:

A jakóż śpiewać nam na ziemi cudzej,
A jako palce kłaść na struny złote,
Kiedy królowie niegdy, ninie słudzy,
I jedną znamy wygnaństwa tęsknotę;³⁵

Mimo iż opuścił kraj z końcem r. 1851, zdaje się, że ostatecznie dopiero teraz, w Rzymie w latach 1856—1857, zdał sobie poeta sprawę, iż dokonany z przymusu wybór nie był wyborem o charakterze przejściowym, lecz decyzją na całe życie wygnańca. W kontekście ogólniejszym znaleźć można dla tej sytuacji uzasadnienie historyczne — losy wojny wschodniej, klęskę pokładanych w niej zrazu mimo wszystko nadziei. W kontekście ściślejszej biograficznej — trudny epizod, wyznaczony nazwiskiem Terleckiego i sprawą „myśli zakonnych“ oraz zachodów zmarłych twychwstańców o duszę poety. I ten epizod przecież w owych latach dobiegł ostatecznie końca. Poeta pisał do Kraszewskiego:

Tak że wreszcie obejrząwszy się po świecie uczułem swe dotkliwe sieroctwo, nie ogrzane żadnym poważnym uczuciem, nie złagodzone żadnym bliższym stosunkiem, o którego stateczność obawiać by się nie potrzeba [...]. Wasze przyjazne podanie mi ręki i zachęta do pracy orzeźwiło mnie i chwiałego się podparło³⁶.

³⁵ T. Lenartowicz, *Super flumina Babylonis*. Dziennik Literacki, (Lwów) 1857, nr 12. Cyt. za: Lenartowicz, *Wybór poezyj*, s. 109.

³⁶ Do K, 5 V 1857.

Moment, o którym mowa, był jeszcze brzemienny w inne konsekwencje — Lenartowicz pisał bowiem i wydał wreszcie *Gladiatorów*; wiadomo, jak ciężko przeszedł skutki tej deklaracji ideowej, która podobnie do *Wygnańców do narodu* była „jak strzał broni długo noszonej pod połą surduta, a mającej własność onego lisa, którego Rzymianin pod togą miał, aż mu wnętrzości wygryzł“³⁷. Już po tamtym wierszu przewidywał przecie Norwid: „bo po napisaniu tego to ja wiem, co będzie z Tobą — ale wytrwasz“³⁸.

W każdym razie nastąpiło wówczas — po *Gladiatorach* — właśnie to, co Lenartowicz przeżył jako „zradę przyjaciela Klaczki“; przewidująco więc brał pod rozwagę kwestię „stateczności w bliższych stosunkach“.

Na tle tak zaznaczającego się kryzysu, z nagłą ogarniającego poczucia osamotnienia, a także uświadomienia sobie nieodwracalnie dokonanego „aktu wolności“, wreszcie zrozumienia, iż wydane w tym czasie utwory ostatecznie odcinają mu drogę do kraju — poeta broniąc się przed głęboką depresją, w jaką zapada, szuka naprędce nici, na których mógłby namotać węzły łączące go z tym wszystkim, do czego nie ma już dlań powrotu. Stąd wezbranie korespondencji, przywracanie dawnych znajomości, przypominanie swej osoby, przywoływanie wspomnień z młodości. Stąd także głęboka troska o skuteczność własnej twórczości, więc o to, czy „kraj“ ją zna, czy ją docenia.

Tu przeto bierze swój początek już odtąd stała, nieprzerwana korespondencja z Kraszewskim, na której kartach znajdzie swój wyraz stosunek wiernej i wytrwałej przyjaźni. Wprawdzie cenna była solidarna deklaracja Norwida, ale Cyprian nie był w kraju, sam czekał daremnie echa stamtąd... Natomiast cieszący się już rozgłosem i autorytetem powieściopisarz wystąpił właśnie w owym czasie z napisaną z rozmachem wielką pochwałą poezji Lenartowicza, pogłębioną przez ostrą krytykę współczesnej twórczości poetyckiej w kraju.

List Kraszewskiego do *Gazety Warszawskiej*, datowany z Żytomierza 15 kwietnia 1856³⁹ (wycinek przechowa poeta na zawsze w swych teczkach), był chyba podstawowym, ze strony krytyki, aktem intromisji poezji Lenartowicza na Parnasie polskim. Nakreślił w niej pisarz ogólny obraz dotychczasowej sytuacji w poezji współczesnej i powiedział o twórcy *Lirenki*:

Widzę więcej w nim niż ukazanie się pięknych poezyjek, widzę wschodzącą zorzę nowej epoki poezji u nas, nowy rodzaj, nowy kierunek, widzę w nim koryfeusza prostoty i prawdy, widzę pierwszego poetę, co samoistnie zaśpie-

³⁷ List C. Norwida do Lenartowicza z 19 X 1856. Por. S. Pigoń, *Nieznany list Cypriana Norwida*. Literatura i Sztuka, Dodatek do Dziennika Poznańskiego, 1914, nr 12, s. 178.

³⁸ *Tamże*.

³⁹ *Gazeta Warszawska*, 1856, nr 109. Por. również: *Z listu J. I. Kraszewskiego do „Gazety Warszawskiej“*. Nowiny, (Lwów) 1856, nr 52, 1 V.

wał z duszy. Mgliste, apokaliptyczne rapsody, cikliwe szlacheckie gawędy, jak szpitalne elegie rozkochanych i szalonych, wszystko to, zużyte, przelało się nam przez uszy [...]. Poezja w ostatnich czasach poszła drogami, którymi łatwo jej było zabłądzić, stała się zamiast obrazowej i plastycznej symboliczną, alegoryczną, mistyczną pytonissą, do której trzeba było komentarzów, rymowaną deklamacją, wymuszoną, erudycyjną lub umyślnie ciemną, grała komedie, wodząc nas wśród mgły swojej, a chcąc nam wmówić, że zaprowadziła w chmury... Może raz powrócimy do domu i ujrzymy niebo i słońce?

Jeśli się tego doczekamy, może to winni będziemy Lenartowiczowi, którego poezje otworzą wrota nowe i obłąkanych opamiętają, zwrócą do czystego źródła.

W liście z 5 maja 1857 z radością więc stwierdzał Lenartowicz:

Moje poetyczne zaśpiewy od czasu Waszej krytyki zyskały prawo obywatelstwa w literaturze krajowej, bez czego wątpię, czy by kto zdecydował się nareszcie przejrzeć te samorodne, biedne kwiatki polne. Wszakże, jeśli mam prawdę powiedzieć, toście mi za wiele przyznali, chyba że z góry, jak pan, zapłaciliście za to, co może kiedyś zobaczycie.

Tym silniej więc zareagował na to, iż, jak powiada w liście dziewięć miesięcy potem wysłanym, „podrapali go w kraju i za granicą“. List ów, pisany do Kraszewskiego 9 lutego 1858, jest rozpaczliwą próbą obrony *Gladiatorów*, a zarazem świadczy o potrzebie odnalezienia w Kraszewskim sprzymierzeńca, jest wyrazem szukania kompensacji w przyjaźni cenionego przez siebie pisarza. Bo załamanie się Lenartowicza było wówczas niemal całkowite, katastrofalne, sytuacja materialna przy tym jak najgorsza, co zresztą nie było w jego życiu nowiną i przeszło stopniowo w stan chroniczny. Dołączyła się do tego na dobitkę choroba: pierwszy ostry atak mnogich dolegliwości, które odtąd aż do końca dni poety będą go trapić i odbierać siły⁴⁰. Lenartowicz szykuje się już na śmierć. Co prawda, w oczekiwaniu rychłego zgonu będzie jeszcze żył 35 lat, ale tym razem nie ma ono nic wspólnego z niewątpliwą hipochondrią, jaka się w nim później rozwinię.

Podniecenie Lenartowicza objawia się naprzód gniewem i sarkazmem. Poeta pisze gorączkowo jakieś utwory, po czym, zapadając w depresję i gotując się do rozstania z życiem, pali wszystko, prócz jednego rękopisu⁴¹. Wydaje się, że o charakterze poniszczonych wierszy świadczyć

⁴⁰ Do K, 10 III 1858: „Schnę i niszczeję w tym ogniu, i żadnej rady na to nie widzę prócz spokojnej rezygnacji, że się to za parę miesięcy skończy... grobem“.

⁴¹ Lenartowicz do K. Sztembarth, 26 I 1858. BPAN 2324: „Rękopisma moje prócz ostatniego wiersza, pt. *Święta praca*, który *Gazecie Warszawskiej* ktoś ma przesłać, popaliłem wczora siedząc samotny przed kominem. Żal mi było tych dzieci mojej duszy, ale ponieważ były to rzeczy strasznej męczarni, Furie na podłe dusze, rzuciłem je w ogień, nie chcąc i tej nawet zemsty na moich zaciętych nieprzyjaciołach. Kto walczył ciszą i miłością, niech pod koniec dni swoich przeciwników broni nie używa“.

może następujący fragment, zacytowany później w liście do przyjaciela, 26 marca 1860:

Kiedy cię zdradą ojczyzny obłożą
I w oczy rzucają bezprzykładnym jadem,
Nie zapominaj uczcić rękę Bożą,
Lecz gad syczący niech ci będzie gadem.
Mieczem swej prawdy przecinaj tę paszczę
I ani rusz się, dopokąd nie zdechnie.
Kto dla obawy skórę węża głaszcze,
Temu się nigdy anioł nie uśmiechnie.

Jedynym utworem wówczas zachowanym była poświęcona Kraszewskiemu *Święta praca*.

Niepokój, jaki owładnął Lenartowiczem, był tym większy, że miał wtedy wyjść nowy zbiór utworów poety, przygotowany do druku u Nowoleckiego w Warszawie, z pomocą Władysława Wolskiego. Wobec nieprzychylniej krytyki martwił się poeta tym, że pojawią się w zbiorze, wbrew jego życzeniu, również *iuvenilia*, mogące go, jak sądził, zdyskredytować, i że w ogóle tomik warszawski nie spotka się z życzliwym przyjęciem w kraju.

Wprawdzie w Przeglądzie Poznańskim przychylni Lenartowiczowi Koźmianowie ujeli się za poetą, poświęcając polemice z Klaczką obszerny i poważny, wyjątkowo lojalny artykuł⁴², ale poeta żywił wówczas uprzedzenie do katolickiego organu; drażniły go nawet najdelikatniejsze uwagi krytyczne pochodzące ze środowiska bliskiego, jak to nazywał, „żandarmom papieskim“. Spoglądał więc jedynie w stronę Kraszewskiego. Jak się okazało — najśluszniej, ten bowiem na pojawienie się *Poezycji* zareagował natychmiast (bo już w numerach 52-53 *Gazety Warszawskiej* z r. 1858) nową recenzją pochwalną. Podtrzymywał stanowisko zajęte w poprzednim artykule, pisząc nadto:

Lenartowicz jest jednym z tych poetów, których wedle naprzód powziętych zasad i prawideł sądzić niepodobna. W nim to, co u innych zdaje się wpływem nabytych bądź rozumem, bądź wiarą przekonań, jest bezpośrednią i naturalną istotą duchową. Naiwna jego muza nie obleka się w zbyt liczne szaty uczonych błyskotek, nie mizdrzy się przybranym wdziękiem wytrawnej zalotnicy — a jednak jakże iskrzące wokoło siebie rozkłada kształty, osłonięte najcudniejszą ze wszystkich pereł dziewczyczych: wstydlivością. Lenartowicz to prawdziwy śpiewak ludu⁴³.

Dwa fakty przyspieszają dalszy rozwój stosunków między pisarzami. Pierwszym jest konflikt Kraszewskiego ze szlachtą wołyńską. Lenarto-

⁴² Przegląd Poznański, 1858, t. 25, s. 235—247. Por. również: [J. Dobrzański.] *Teofil Lenartowicz*. Dziennik Literacki, (Lwów) 1858, nry 35—39.

⁴³ *Gazeta Warszawska*, 1858, nr 52. Por. również: *Dziennik Literacki*, (Lwów) 1859, nr 6.

wicz jest nim głęboko poruszony — widzi pewne podobieństwo sytuacji, pragnie pisarza podtrzymać, umocnić w zajętej postawie; wzywa więc do wytrwania:

Na Boga Cię proszę, nie ustępuj przed nieprzyjaciółmi, bo im tylko tego potrzeba, a tu idzie o coś ważniejszego jak o nas, bo o sprawiedliwość. Możesz złożyć urząd, zostać na boku, milczeć i na zapytania nie odpowiadać, ale nie ustępować. [...] Zostań, boś jeden i dlatego właśnie, żeś jeden, zostań⁴⁴.

Moment ten zmienia niejako psychologiczną sytuację korespondujących; teraz już i Lenartowicz ma do ofiarowania wsparcie moralne.

Drugim faktem stała się podróż powieściopisarza na Zachód i spotkanie na ziemi włoskiej. I znowu — już zapowiedź *itinerarium* Kraszewskiego przez Paryż stawia Lenartowicza w sytuacji kogoś bardziej doświadczonego, kto swą wiedzą o ludziach i stosunkach może przyjacielowi służyć. Pobudza to jego werwę, daje okazję do gwałtownego wybuchu pasji satyrycznej, z jaką kreśli w listach do Kraszewskiego obraz polskiej emigracji. Trudno zaiste odnaleźć tradycyjne rysy „łirnika“ w listowych pamfletach, jakimi dzieli się z powieściopisarzem.

Spotkanie nastąpiło w lipcu 1858. Prawdopodobnie Lenartowicz był przyszłemu autorowi *Kochajmy się i Rzymu za Nerona* ciceronem po zabytkach „wiecznego miasta“ (ze szczególnym uwzględnieniem, zapewne, Koloseum i katakumb, pod których najsilniejszym wrażeniem był wówczas poeta w Rzymie). Pamiątką spotkania pozostał wiersz Kraszewskiego, datowany: „Rzym, 17 lipca 1858“, wiersz, w którym, nawiązując do centralnego obrazu *Gladiatorów*, pisał:

Pielgrzymi, na rozstajnych schodzimy się drogach,
Z kajdanami na sercach, z pętami na nogach,
Jak zapaśnicy w cyrku, którym się dostało
Ścisnąć dłonie, nim w proch się rozsypie ich ciało.

Zwracając się zaś do przyjaciela wzywał:

Śpiewaj — słuchamy wszyscy, wielkie w koło cisze.
Twoja pieśń nas pociesza i przyszłość kołysze⁴⁵.

W ślad za powracającym do kraju *via* Paryż Kraszewskim wysłał poeta taką deklarację:

Spółceństwo to [emigracyjnej] stało się dla mnie tym jedynie, czym książka: ciekawością, i czym szpital: domem chorych na serce, na imaginację, na pychę, godnym miłości dla jednej miłości, która w nich pokrzywiona, ale gore wciąż zadymiana osobistymi nędzami [...]. Miłości od wszystkich już

⁴⁴ Do K, 10 III 1858.

⁴⁵ W albumie Lenartowicza *Umarli żywi*. Por. I. Chrzanowski, *Z albumu Lenartowicza*. Sfinks, 1912, grudzień, s. 336.

od dawna powiedziałem dobranoc. Miłość tej wielkiej ilości tyle warta, co Arabia pusta, wielka, ale nic z niej nie przychodzi — prócz wichru i piasku, który zadusza⁴⁶.

Pisał już wtedy *Bitwę raclawicką* i pilnie prosił o źródłowe informacje o losach chłopskich herosów kościuszkowskiego powstania, Głowackiego i Świśtackiego. Wchodził w nową fazę aktywności, podejmując znów dyskusję z obozem wstecznicstwa⁴⁷.

Listy Lenartowicza do Kraszewskiego z lat następujących bezpośrednio po rzymskim spotkaniu w 1858 r. należą do najciekawszych w całej jego korespondencji. Są niezwykle szczere, w tym mianowicie sensie, że z wiedzą lub bez wiedzy ich autora odsłaniają jego psychikę, ujawniają gwałtowny temperament choleryka i neurastenika zarazem, wybuchową drażliwość, zaiste szlachecką niezdolność do ścierpienia słowa krytyki, pasję satyryczną, przywiązanie do niezależności i wielką godność, nieskłoną „do kłaniania się nikomu“. Pisane sposobem wielce kłopotliwym dla czytelnika, a tym bardziej dla edytora, bo z zastosowaniem fantastycznej interpunkcji, najzupełniej dowolnej, z punktu widzenia logiczno-syntaktycznego nieoczekiwanej, jakimiś już proustowskimi ciągami zdań, łączonych na zasadzie często niespodzianych skojarzeń wyobraźni, pamięci i myślowego związku — listy te odkrywają przecież ciekawy talent prozatora, drzemający w poecie i nieczęsto ujawniany w druku (jak w doskonałe później napisanej *Wycieczce do kletki Czernego Boga*).

Kiedy czytać diatryby na środowisko emigracji w Paryżu, ogarnia niepokój. Jakież musiały być bliżej nie znane przeżycia Lenartowicza na paryskim bruku, skoro z taką pasją zarzuca przyjaciela satyrycznymi, pamfletowymi charakterystykami aktorów tej, jak ją nazywa, *divina commedia* polskiej „wymieracji“! Trudno się powstrzymać od przytoczenia dla przykładu fragmentu z listu „lirnika“, w którym reaguje on na wiadomość o życzliwym przyjęciu Kraszewskiego przez wychodźców:

⁴⁶ Do K, 18 IX 1858.

⁴⁷ Interesujące dla ówczesnej pozycji osobistej poety, którego jeszcze znacznie później pomawiano o przynależność do zmartwychwstańców, są m. in. następujące fragmenty listu z Rzymu, z 27 XII 1858: „Z księżzami stanąłem otwarcie, powiedziałem wszystko na piśmie przysłanym Koźmianowi [Janowi]; tłumaczył mi ich postępowanie wobec pani Poniatowskiej [Dionizy], zaprzeczał o Mickiewiczu i tyśiącu innych rzeczy, na co ja, przycinając rozmowę, powiedziałem: Niechże więc Pan Bóg każdemu odmierzy wedle zasługi — i tak się skończyło. NB: Kajsiewicz i Semen[enko] jak mnie zobaczą, drapią na drugą stronę: i owszem, lepiej być w wojnie niż w takim śmierdzącym pokoju“.

Zresztą na plastycznej dosadności nie zbywało poecie i nieco wcześniej (do K, 26 XI 1858): „Księżzowie nasi spotykając się ze mną mają minę kota, który rozbijwszy miskę z mlekiem, bardzo przyjemną minę do gospodarza robi, ale zarazem i upatruje, jak by się za drzwi wydobyć. Omijam ich z daleka, wyraźnie i jasno powiedziałwszy, że z żandarmerią papieską nie mam nic do czynienia. Basta!“

Bogdaj byś nigdy nie miał z nimi żadnej styczności! Wielcy patrioci, święci prorocy, filozofowie, politycy, rycerze, artyści — jedni stoją jak posągi, drudzy jak duchy coś tam zza świata gadają, inni przewracają kozły w powietrzu i takż o powadze mają rzecz do narodu... Starcy z twarzami z grobów, za życia omszeni jak kamienie, uśmiechają się do potwarców publicznych, do podłej zgrai, która dziś rzuca róże, jutro błoto, ściskają im ręce za szczyptę karczidła — i odchodzą marzyć o wielkości swojej. Oto poezja ruin duchowych, oto historia rozkładu niegdyś zdrowego ciała! Kto nie przeszedł drogi wygnania, temu się spoczynek nie należy; tylko duszy przez te wszystkie różgi, plwociny i ostre kamienie przeszłej godzi się z całą sumiennością napisać: wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a jako całe życie w ciemności chodził, niechaj mu światłość wiekuista świeci!⁴⁸

To jeden z sądów ogólnych. Z kolei parę „charakterów“, kreślonych przez mazowieckiego La Bruyère'a:

Ze wszystkich przychodzących najdumniejsi okazywali Ci najwięcej prostoty i chrześcijańskiej miłości, bijąc się pięściami w piersi, że niczego więcej nie pragną, tylko chrześcijaństwa, i tak Cię oczarowali, żeś powiedział sobie: a już też nieprawda, żeby on miał przyjmować tytuł wodza globu ziemskiego, ów drugi — wieszca dwóch milionów gwiazd itp. kalomnie... A przecie!

Pewien generał, jeśliś go poznał, bawił Cię dowcipami, zadziwiał rozległością nauki i potokiem słów, lecących z ust tego wodza jak woda z kamiennego kruża upostaciowanej rzeki. Inny znowu prawił periody nigdy się nie kończące, wyciągi ze zdań siedmiu mędrców: nici filozoficzno-mistyczne, uwiązane u pierwszego dnia tworzenia i dawniej jeszcze, w chaosie ciemnościach, objaśniane od czasu do czasu humorem Jean Paula, Szekspira — i także Salomona. Wielkość, która sama siebie całuje, żeby się nie dobić osamotnieniem i nudą, artysta, dla którego sposób mówienia Zbawicielowego jest ściśle ironicznym (*sic!*), w ślad którego idąc trzeba ironizować, zapalić cygaro i ten świat (niezupelnie przez samego siebie pogardzony...) zaocznie kopać tak silnie, jak tylko się da.

Inny polemizował z Wami o słowo demoralizujące i o słowo moralizujące z dwojaką energią — rozkładającą chrześcijańską i stawiającą tytańską, o potrzebę zwrotu na opuszczone drogi, a w duszy śmiał się z obu kierunków jak sofista, który w tej samej chwili gotów był bronić potępionego przez siebie systematu *seulement pour l'art*.

Rodzaj szerszeni przybiegał ściskać, kochać, komplementować za książki, których nie czytał, a wszyscy jedni na drugiego narzekali dowodząc, że gdyby nie jakiś ten Kwapiszewski i Gołaszewski, od dawna by rzeczy inny obrót wzięły...

O wybranych nie mówię, bo już raz mówiłem i — jakeś się, kochany Panie Józefie, przekonał — nie omyliłem się. Osobiście do nikogo żalu nie mam⁴⁹.

Kraszewski na takie wylewy żółci reaguje z dyskretnie zaznaczonym zdziwieniem, ze *suaviter in modo* wyrażoną przyganą. Znamienne dla neurastenicznych stanów poety i dla wzajemnego stosunku przyjaciół,

⁴⁸ Do K, 29 VII 1858.

⁴⁹ Do K, 18 IX 1858.

że Lenartowicz zaraz się wycofuje, lecz tylko z gniewu i sarkazmu, pozostając przy zasadniczej treści swych sądów; bije się więc w piersi:

Jest to grzech przeciwko Duchowi Świętemu, grzech nieprzebaczony, upadek na drodze cierniowej, z którego jakże gorąco pragnę się podźwignąć, a jak mi to trudno przychodzi! Każde słowo od Was, choćby nawet połajanie, nieocenioną ma dla mnie wartość. [...] Nie zapominajcie o mnie, jeżeli nie chcecie zostawić samemu sobie człowieka bliskiego rozpaczy⁵⁰.

Po rzymskim spotkaniu zaczyna się układać stosunek, w którym starszy z przyjaciół przyjmuje rolę zarówno spowiednika żalów i goryczy, jako doświadczonego, a zarazem spokojniejszego mentora. W listach Kraszewskiego widoczny często wyraz nieco zniecierpliwionego pobbłażania wobec czasem trochę nieobliczalnych, a zawsze zmiennych nastrojów i reakcyj poety, przy bardzo serdecznym, pełnym dobroci traktowaniu serio jego trosk, a zwłaszcza niedostatku i ciągłego zapadania na zdrowiu. Lenartowicz zaś istotnie potrafi przerzucić się natychmiast w inny nastrój, usiłując wnet w strefę nowego stanu ducha pociągnąć swego korespondenta. Złajany, zawsze dyskretnie, za pesymizm i mizantropię, odpowiada gorącą narracją z wędrówki po Włoszech, wybuchnawszy goryczą obdarzy Kraszewskiego zaraz żartem i anegdotą, na niepokój o stan materialny zareaguje szczegółowymi informacjami o swych licznych pracach.

Oto np. taka pełna żaru relacja, wprowadzająca w elementy genezy przyszłego *Album włoskiego*:

Owóz już tak oddawszy się Bogu i nie myśląc o sobie, przyjechałem do San Gemino. Pokazuje się, że dobrze zrobił, bo naprzód nabrałem trochę siły, po wtóre znalazłem ludzi pocziwych i o wiele pocziwszych, niżelim sobie wyobrażał. Włochy, ale nie Rzymianie, gościnni, uprzejmi, i co większe, z pewnym głębszym uczuciem, niewiasty mianowicie. Długo byłoby rozpowiadać, co ja tu w ciągu tych dwudziestu trzech dni nie przeszedł. Kroniki pisać, Panie Dobro[odzieju]! Naprzód wycieczki na jakieś miasta, całe w gruzach, na wzór Palmyry porozbijane w pył, porośłe bluszczami i wymyte wiekowym deszczem, starożytne Casuentium, kolonia rzymska na prawach równych miastu, z kolegiami pontifexów, augurów, quadrumvirów i decemvirów, z populum i patrycjuszami, z widowiskami szermierzy *etc.* — i to wszystko poszło, wiatr zwiął do cna, imiona deszcz zmył z kamieni. Pliniusz w historii nie zapisał ani Tacyt, wzmiankę tylko ci starzy zostawili: że Trajanowi wracającemu z wojny dackiej łuk triumfalny wystawiło Casuentium i ten łuk opiera się jeszcze wichrom, co przez niego wjazd triumfalny wciąż na ruiny odbywają, świszcząc. Na tych gruzach byłem kilka razy, raz na osiołku, drugi raz piechotą, prowadzony przez Włoszkę piękną... Ach! Co tam gadać, na św. Antoniego najniezawodniej tego rodzaju diabeł przychodził.

Księża-mnichy śpiewali mi z towarzyszeniem gitary canzonetty neapolitańskie, których przedmiotem, jak zwykle, miłości tych obdartusów, co to jak

⁵⁰ Do K, 5 XI 1858.

ryby otwierają paszczęki na makaroni [...]. Słowem, przyjrzałem się z bliska domowemu życiu Włochów, dobrodusznemu przeważnie i pocziwemu, a że są i złodzieje, rozbójnicy, oszuści — a gdzież ich nie ma?⁵¹

Stopniowo zapisują się w relacjach Lenartowicza jego dalsze koleje: przeniesienie się do Florencji, małżeństwo. Potem pojawia się dramatyczna historia wyjazdu żony do Miłosławia, historia jej choroby i śmierci, nieklamana rozpacz poety, teraz już, od lipca 1870, rzeczywiście pozostawionego całkowitemu osamotnieniu, starzejącego się i znękanego chorobami oraz troską materialną.

Początek r. 1863 przyniósł nagle zaliczenie Kraszewskiego do rzeszy emigrantów politycznych: obydwaj korespondenci znaleźli się nieoczekiwanie w sytuacji podobnej — na obczyźnie. Była ona jednak o tyle niepodobna, że mimo zamknięcia się za powieściopisarzem granicy zaboru rosyjskiego, zachował on bliskie kontakty ze środowiskiem krajowym, a poza tym jeszcze rozwinął właściwą sobie aktywność w oddziaływaniu na społeczeństwo. Jeśli chodzi o Lenartowicza, tym mocniej zabiegał Kraszewski o umożliwienie druku płodom jego pióra oraz o rozbudzenie praktycznego zainteresowania dla nowej dziedziny działalności artystycznej poety, tzn. dla prac rzeźbiarskich.

Rzeźbienie bowiem zajmuje pocie coraz więcej czasu, a listy do przyjaciela skrupulatnie go o tym informują. Począwszy od wzmianki w liście z Florencji, z 23 listopada 1864, aż do końca tej korespondencji rozwija się w niej *sui generis* kronika praktyki późno odkrytego drugiego talentu Lenartowicza. Wprawdzie wiadomo, że początkami swymi sięgają próby dłuta jeszcze pobytu w Rzymie i pierwszych ćwiczeń w pracowni Henryka Stattlera, lecz dopiero we Florencji w 1864 r. dostrzega Lenartowicz możliwości, jakie przynieść mogą uzdolnienia plastyczne (zdolności rysunkowe ukazują już znacznie wcześniejsze szkice poety).

Nie mogąc pisać (zabroniono mi wzruszeń pod grozą rozwinięcia się choroby piersiowej), lepię figurki z gliny, a jeżeli wyzdrowieję, do warszawskiej fary miłosiernego Jezusa ulepię⁵².

Za tym wotum serdecznej pamięci o umiłowanej starej Warszawie idą wnet wota przyjaźni: po „biuścikach“ Bronisława Zaleskiego i Gabriela Łuniewskiego, co mu za żywe modele służyli, idzie „biuścik“ Kraszewskiego (z fotografii), a potem brązowy medalion Dantego dla powieściopisarza i znów medalion Kraszewskiego. Czas od początku r. 1869 do początku r. 1879 to dziesięciolecie, w którym w listach Lenartowicza do przyjaciela sprawa rzeźb zajmuje stosunkowo najwięcej miejsca. W często dramatycznych perypetiach, związanych ze zdobywaniem pie-

⁵¹ Do K, 12 VIII 1858.

⁵² Do K, 23 XI 1864.

niędzy potrzebnych na materiał czy na wykonanie odlewów, a także z możliwościami wystawienia dzieł dłuta poety, wreszcie z propagandą, z zaznajamianiem opinii z wykonanymi pracami — Kraszewski uczestniczy żywo. Zabiega o umieszczenie fotografii kompozycji Lenartowicza w czasopismach, troszczy się o subskrypcje, interweniuje, kiedy np. zdało się, że rzeźby wysłane na wystawę wiedeńską w 1872 r. zmyliły drogę. Nie zawsze może uczynić zadość prośbom Lenartowicza, który często przecenia możliwości Kraszewskiego w tej mierze, ale zawsze angażuje swoje stosunki, by mu pomóc, gdzie może też, jak w *Omnibusie* i w *Tygodniu*, kiedy go wydaje, umieszcza wzmianki i pochlebną charakterystykę talentu poety-rzeźbiarza. Było to niemałą przysługą: skromne dochody z zamówień na owoce uzdolnień plastycznych nieraz Lenartowicza ratowały, gdyż z pracy literackiej wyżyć by nie zdołał.

Charakterystyczne dla stosunku Lenartowicza do Kraszewskiego, dla zaufania, jakie żywił do znakomitego pisarza, są też komentarze, którymi opatruje swe skrypta przeznaczone do druku — bądź w wydawnictwach Kraszewskiego, bądź nawet gdzie indziej. Pierwsza chyba ze strony Kraszewskiego próba wciągnięcia Lenartowicza do pisania korespondencji włoskich do periodyków przez powieściopisarza redagowanych, datuje się z początku r. 1865; chodziło o *Hasło*. Poeta odpowiada na propozycję: „Z Tobą choćby i w piekło. Przysyłaj warunki, pisywać będę regularnie“, ale na wiadomość, że Kraszewski nie będzie redaktorem, od razu deklaruje:

Tedy tym samym i z moimi korespondencjami rozumie się, że skończone i że gdzie Pan Józef należeć nie chce, tam i ja nie mogę.

A później jeszcze:

Pragnę pracować i iść z Wami ręka w rękę do grobu, ale z Wami⁵³.

Uspokojony osobistą gwarancją Kraszewskiego co do kierunku pisma, zastrzega się zaraz:

Rad bym z duszy, żebyście, drogi Panie Józefie, przeglądali te moje piśmi-delka, a co by Was, ale tylko Was, bardzo raziło, to w łeb⁵⁴.

Dobrowolnie poddaje „cenzurze“ przyjaciela swe późniejsze korespondencje do drezdeńskiego *Tygodnia*; zresztą już w 1861 r., przesyłając na ręce Kraszewskiego artykuł do *Gazety Warszawskiej*, upoważniał go:

Proszę Was najmocniej, drogi Panie Józefie, przeczytajcie, a jeżeli znajdziecie coś niezgodnego ze swoim pojęciem, wyrzuć, wykreśl, zniszcz choćby cały artykuł! Chciałbym bowiem być w zupełnej zgodzie co do pojęć z Tobą⁵⁵.

⁵³ Do K, 30 V 1865.

⁵⁴ Do K, 7 VI 1865.

⁵⁵ Do K, 23 I 1861. Chodziło o artykuł o rzeźbiarzu Dupré.

Lenartowicz, znowu rzecz zupełnie wyjątkowa, poddaje „cenzurze“ Kraszewskiego nawet niektóre swoje utwory poetyckie. Zdaje się w tym zarówno na literackie wyczucie redaktora *Tygodnia*, jak na lepszą z jego strony orientację w możliwościach recepcji twórczości w kraju oraz w tamtejszych stosunkach, a także w wymaganiach cenzury. Dzieje edycji *Ech nadwiślańskich*, potem krakowskiego wydania *Wyboru poezji* zajmują w listach obu przyjaciół bardzo wiele miejsca. Związana z nimi korespondencja nie tylko zawiera liczne informacje, cenne dla biografii Lenartowicza, ale ukazując trudności, choćby wynikające z kunktatorstwa wydawców, jak np. *Żupańskiego*, z ich „polityki i ekonomiki“, jak w wypadku *Anczyca*, objaśnia jeszcze raz stosunek poety do Kraszewskiego. W nim widział Lenartowicz głównego swego doradcę, bezinteresownego orędownika; jego przyjaźni i doświadczeniu zawierał najbardziej dokuczliwe kłopoty i niepokoje, przekonany, czasem ponad miarę, że jeśli nikt inny, to zawsze przecież „kochany Pan Józef“ jakoś złu zaradzi, wydawców czy drukarzy zmonituje, otrzymane informacje sprawdzi. Nie powstrzyma się przy tym przed wylewem żalów i goryczy; czasem wyda i sąd krzywdzący, błędnie niejedną sprawę oceniając z oddalenia. Kraszewski cierpliwie żalów wysłuchuje, interweniuje jak może, zawsze służy radą i pomocą, a nieraz wyjaśnia Lenartowiczowi zagmatwaną sytuację, w imię słuszności bezstronnie jednak tłumacząc postępowanie obwinianych.

Swoją wdzięczność wyraża Lenartowicz przyjacielowi z największą wylewnością; skłonny do egzaltacji, coraz to podkreśla, iż w swej samotności tylko w Kraszewskim widzi oparcie. Poza osobistymi dedykacjami na przesyłanych Kraszewskiemu tomikach i poza ofiarowanymi w imię przyjaźni rękopiśmiennymi ineditami (jak np. manuskrypt wiersza *Policzek Stańczyka*), poświęci drukowane w *Strzesze* w 1868 r. *Różności* „doświadczonemu przyjacielowi, Ignacemu K.“ Były wśród nich tak pogodne i świeże utwory, jak *Sen i drzemka* czy *O Bańce, co jej krowę zajęli*. Uderza kontrastem ich humor i lekkość, gdy je zestawić z pełnymi goryczy, żalu i rozdrażnienia listami, w których się przyjacielowi spowiada ze swych realnych, a czasem urojonych trosk i zawodów.

W październiku 1871 Kraszewski odwiedza Lenartowicza powtórnie (w drodze powrotnej z kongresu w Bolonii) i ogląda jego roboty rzeźbiarskie w ubogiej pracowni; wnet też domaga się od niego dokładnych danych o twórczości w tej dziedzinie, by podać je do kraju. Następne odwiedziny przypadają na wiosnę 1878. Jeśli rytm dziejów przyjaźni dwu pisarzy wymierzać datami spotkań, które zawsze przynosiły ożywienie stosunków, dostarczały jakby nowego wątku wspólnym myślom i obserwacjom, to owo trzecie na obczyźnie zetknięcie rozpoczyna ostatnią już fazę tej wyjątkowej przyjaźni.

Nie tylko zmalał niejako dystans lat między nimi, ale w tym ostatnim dziesięcioleciu inaczej znów układa się „stosunek sił“. Już owo przedostatnie w życiu widzenie pozwoliło Lenartowiczowi ujrzeć w Kraszewskim człowieka podobnie jak on doświadczonego życiem, a znękanego nadmiernym trudem. „Motyw choroby“, tak silnie, zresztą nie bez poważnych przyczyn, występujący już od dawna w listach poety, teraz staje się motywem wspólnym. Energia Kraszewskiego, która dotąd wydawała się Lenartowiczowi również funkcją siły i wytrzymałości organizmu, coraz bardziej ujawnia swoje wyłącznie moralne źródło; powieściopisarz często zapada, skarży się — on z kolei — na zły stan zdrowia, na depresję psychofizyczną, ujawnia nadwrażliwość na warunki klimatyczne, nie cierpi zimna. Teraz więc poeta występuje z radami, wzywa do oszczędzania sił, namawia do przeniesienia się na południe, osiedlenia we Włoszech. Widoczna w tym rzeczywiście serdeczna troska o miłego sercu człowieka.

Ale i z Lenartowiczem dzieje się coś nowego. Ciekawym paradoksem losu na niego bowiem teraz przyszła kolej wzmożonej aktywności. Z mizantropii, która zdawała się ostatecznie ogarniać „samotnika znad Arno“, wyrывa go otwierająca się możliwość bezpośredniego działania wśród ludzi — wykłady w Bolonii. Wprawdzie nadal wylewa w listach do Kraszewskiego swoje żółciowe gorycze, gniewa się na każdą nieprzychylną o sobie i o swej twórczości wzmiankę w prasie krajowej (stanowczo przesadzając w drażliwości), sarka na współziomków, o których się ociera we Florencji czy Bolonii, ale listy te, chociaż już znacznie mniej interesujące i mniej żywo od dawniejszych pisane, nabierają znamion odżywającej energii.

Dzieje się znów podobnie jak ongiś w Krakowie, kiedy, według świadectwa Wojciecha Stattlera, młody jeszcze wówczas poeta przemieniał się, „stawał się wymownym“ w obliczu słuchaczy. I teraz uważający się za starca prelegent boloński daje dowody rzeczywistej energii i wytrwałości; łamiąc się z osłabłym, zawsze zawodnym zdrowiem pracuje zapamiętale, a życzliwe przyjęcie ze strony słuchaczy, owacje, o których skrupulatnie informuje przyjaciela, dają mu wiele satysfakcji, wzruszeń od dawna nie znanego rodzaju. W listach też nowy ton daje się słyszeć: jeśli nawet poeta wyrzeka na niewdzięczną krytykę w Polsce, to mniej w tym rozżalenia, więcej teraz znowu, jak w korespondencji sprzed lat 20, zadzierzystej pasji. Dopiero w 1883 r. nadchodzi załamanie: zmęczony stawianymi przeszkodami, nieporozumieniami, jakie narosły wokół sprawy katedry na uniwersytecie w Bolonii, konfliktem z Arturem Wołyńskim, wycofuje się z wolna, z żalem, ale i z dumą, z działalności publicznej.

W nadziei, że rychło ujrzę Was na gościnnej włoskiej ziemi, przekonany, że proces, który szumnie zapowiadają dzienniki, nie tylko że Wam swobodę, ale i chwałę przyniesie, czystość zamiarów i wielkość Waszego charakteru jawnymi czyniąc przed całym światem — innych życzeń dla Was nie mam na dzień dzisiejszy, jak zdrowia i siły, nie przeciwko nieprzyjaciółom, których Wam nigdy nie zabraknie, ale nerwom w chwili tej niezmiernie poważnej. [...] Bóg jeden widzi, ile cierpię z Wami razem, Najczcigodniejszy Panie Józefie, dla którego miłość i wdzięczność przekazując, kończę tę kartkę pełen ufności w Bogu dla Was, Najukochańszy Mistrzu i Przyjacielu⁵⁶.

Rozpoczęła się już „sprawa Kraszewskiego“.

Korespondencja zdaje się dowodzić, że powieściopisarz, mimo całej przyjaźni, jaką szczerze darzył poetę, nie wtajemniczał go jednak we wszystkie swoje przedsięwzięcia. Pozostawały karty, których nie odsłaniał. Wylewność Lenartowicza nie spotykała się z podobną ze strony wytrawnego działacza. Skądinąd wprawdzie wiadomo, że i „biedny Mazurzyzna“ umiał, gdy chciał i uważał za właściwe, wiele zamilczeć, zatem listy (a może i rozmowy) nie mogły obejść się bez koniecznych elips, ale reakcja Lenartowicza na proces Kraszewskiego jest tego rodzaju, iż zdaje się wykluczać jakieś jego bliższe rozeznanie w sytuacji, której wynikiem było oskarżenie powieściopisarza, proces i więzienie.

Bolesny, tragiczny finał działalności Kraszewskiego wpisał się przejmującym akordem w dzieje przyjaźni pisarzy. Z listów Lenartowicza bije wtedy rozpacz z powodu położenia przyjaciela, lęk o jego zdrowie, nawet o życie. W rozterce zbiera skromne swoje środki, by móc go zobaczyć w Magdeburgu (czemu się Kraszewski sprzeciwił), usiłuje mu pomóc w zdobyciu potrzebnych informacji, przesyła książki, żądane notatki. W tych listach najpiękniej odsłonił Lenartowicz swą dzielność w przyjaźni, ujawnił właściwą sobie temperaturę uczuć. Poetycznym, lirycznym odruchem słał przyjacielowi za mury magdeburskiej twierdzy — w lutym — fiołki z Florencji:

Je vous envoie de Florence quelques violettes, respirez le parfum de notre campagne et pensez des amours congédiés. Les violettes nous transportent dans les jours meilleurs, mais elles n'ont pas de charme pour le présent. Adieu, cher et adorable Ami⁵⁷.

Po wyjeździe Kraszewskiego z Niemiec Lenartowicz najusilniej przekonuje przyjaciela, by nie ważył się tam wracać, wielokrotnie do tego tematu powraca, molestuje, tłumaczy, iż nie należy władzom i sądom bismarckowskich Niemiec ufać. Zaleca spokojny pobyt w San Remo, wzgląd na zdrowie. Gdy zaś dowiaduje się o przedsięwziętej podróży po Włoszech, oczekuje niecierpliwie widzenia z przyjacielem. Ostatnie spot-

⁵⁶ Do K, 17 III 1884. Pierwsza wzmianka o wszczętym przeciw Kraszewskiemu śledztwie znajduje się w liście do K, 9 VIII 1883.

⁵⁷ Do K, 23 II 1885.

kanie nastąpiło 28 stycznia 1887, w mieszkaniu Lenartowicza. Ostatni też list powieściopisarza do poety nosi datę 26 lutego. Już tylko trzy tygodnie dzieliły Kraszewskiego od śmierci.

Listy Lenartowicza do przyjaciela z ostatnich miesięcy przed ich florenckim pożegnaniem zawierają, rzecz znamieną, fragmenty, w których poeta utwierdza go w przekonaniu o wartości pięknie i użytecznie wypełnionego zadania:

Idziesz, bolejesz i opowiadasz, wzrok Twój widzi wszystko i odbija — na podobieństwo stalowego lustra — przeszłość i obecność, zostawiając świadectwo wielkich i strasznych dni. Poprzednicy Twoi, Najukochańszy Mistrzu, spozstrzegali całość tyle, ile im było potrzeba do prorocत्व, Ty — wszystkie szczegóły epoki swojej do obrazu, z którego skorzystają indagatorowie w ocenianiu naszej epoki. Tyś historią narodu, ożywioną w najcudniejszych kolorach, Ty obecność bolesną i westchnienie ku niewiadomej przyszłości narodowi zostawił⁵⁸.

Poetyckim zaś pożegnaniem zmarłego był wiersz *Pamięci Józefa Ignacego Kraszewskiego*, ogłoszony w *Kłosach*. Stylizując krakowski pogrzeb powieściopisarza na obraz ludowego, słowiańskiego rytuału żałobnego, Lenartowicz zapowiadał:

O Tobie będą śnić słowiańskie sioła,
Chałupy gnile i mury kaszteli;
Ciebie na drodze swej ujrzy Jermoła,
Ciebie starcowie przypomną po latach:
Owo nie tuman w oczach się nam bieli,
A duch Józefa przeciąga po lasach
Ze swoją lirą. [...]

Kończył:

Wielki sąd ludu, a Bóg miłosierny...
Takim Cię słowem żegna twój druh wierny,
Ciepło twej starej czując jeszcze dłoni,
Nieutrudzony śpiewaku w urzędzie...⁵⁹

W 6 lat później zwłoki Lenartowicza spoczęły na Skałce w pobliżu trumny Kraszewskiego.

⁵⁸ Do K, 4 IV 1886.

⁵⁹ T. Lenartowicz, *Pamięci Józefa Ignacego Kraszewskiego*. *Kłosy*, 1887, t. 45, nr 1173, s. 390.